№ 4 Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MYŚLI O STOWARZYSZENIACH.

Jednym z najświetniejszych rozbłysków promienia rozumu ludzkiego, który dał ludzkości najpełniejsze życie, jest bez zaprzeczenia ideja stowarzyszeń w czyn wprowadzona. Opiera się ona na prawie rządzącem całem wszechstworzeniem, tak w świecie materyi jak ducha, drga tak w ciele nieorganicznem stałem, łącząc wszystkie jego cząsteczki w jedną całość, jak w roślinie, której okiem niedojrzane komóreczki wytwarzają cudne barwy i aromaty.

Zanim rozwinę o ile to będzie w mojej sile, powstanie i wpływ stowarzyszeń na ludzkość, wprzód winnam ostrzedz, że z mojej drobnej pracy usuwam stowarzyszenia, które nie mają prawa nosić miana dobrego związku: do nich zaliczam kasty kapłanów w Egipcie, które wiążąc się w stowarzyszenia religijne, wyzyskiwaniem ślepej wiary, mocą olśnienia cudami, wywołanemi sztuką lub magią w celu osiągnięcia władzy nad umysłami, dla osobistych, materyalnych korzyści, nie przyniosły żadnego dobra społeczeństwu swemu, przeciwnie, trzymając wieki całe ludy w duchowem poddaństwie, zatamowały nadługo postęp prawdziwy.

To samo powiedzieć można o kontemplacyjnych braminach Indyi, o tajemnicach Eleuzyjskich i Mitry, o wszelkich późniejszych związkach i spiskach w Rzymie dążących do obalenia tego, co było dobrem i korzystnem dla bytu narodu.

Stowarzyszenie przyspieszające prawdziwy postęp, winno mieć na celu tylko dobro ludzkości.

Pierwszym jego objawem i owocem był *rozdział pracy*; bez niego człowiek pozostałby wiecznie w stanie pierwotnej prostoty.

Nie zapuszczając się w dowodzenia, które wielcy myśliciele już wyczerpnęli, powtórzymy tylko razem z nimi: że prace niepodobne do wykonania dla jednego, łatwemi stały się dla wielu, bo owoc pracy człowieka odpowiada pomocy wzajemnej w poparciu usiłowań. Im więcej też sił zjednoczonych, tem działanie nietylko pełniejsze, bogatsze w cudowne rezultata, ale szybsze, łatwiejsze, mniej wyczerpujące siły jednostek. Brak zjednoczenia sił pozostawia społeczeństwo w stanie pierwotnej dzikości, czego dowodem Nowa Holandya; przeciwnie, spotęgowanie sił tak materyalnych jak duchowych, zwycięża samą potęgę przyrody, zakreśla jej, że tak powiem, granicę i zmusza do posłuszeństwa woli zbiorowego człowieka, czego dowodem prace mieszkańców Niderlandów, przekopanie Suezu, przeprowadzenie kolei przez wnętrza skalistych gór, na ich niebotycznych wierzchołkach jak na Kordylierach w Ameryce, co się największym myślicielom niepodobieństwem do wykonania zdawało.

Człowiek zbiorowy uczyniwszy tyle w dziedzinie materyi, zrozumie jaśniej zjednoczenie w dziedzinie ducha, dziś, gdy światło z góry coraz pełniejszym na umysł i serce człowiecze pada promieniem.

Dzięki więc wprowadzeniu idei chrystyanizmu, poznaliśmy już prawa sił ludzkich, i mocą tych praw kierujemy siłami człowieka w każdym narodzie. Lecz ostatecznym celem pracy ludzkiej nie jest pomnożenie sił każdego narodu. Celem najwyższym ludzkości zbiorowej jest pomnożenie siły każdej jednostki przy jej ognisku domowem. Już przed wieloma wiekami jeden z największych prawodawców starożytnego świata, przywódzca wybranego ludu wyrzekł:

Niechaj nie będzie wśród nas ani jednego żebraka, ani jednego biednego, tak pod względem ciała jak ducha. I my pragniemy tego samego. Tego pragnął Najwyższy Prawodawca powtarzając: że każdy cierpiący to On sam, bo On chciał aby nikt opuszczonym nie był. W słowach: syn człowieczy nie ma gdzie złożyć głowy, objął on całą ludzkość cierpiącą, i zdziałał, że dziś nauka wskazuje, jak obracać nagromadzonem bogactwem, aby dać masom całym pracującym chleb mniej gorzki i drogi, a nadto miejsce dla złożenia głowy. Dzisiejsza życiodawcza nauka bierze pod pieczę każdego człowieka, zagląda do jego ogniska, uczy masy całe zdobywać w sprawiedliwości i pokoju usilną pracą wszelkie dobro tak materyalne jak duchowe. Do osiągnięcia tych rezultatów, powtarzamy, dopomaga potężnie zjednoczenie sił. Jak wielkiej jest ono doniosłości, wykazuje nam cała historya rodzaju ludzkiego.

Pierwszemi zawiązkami duchowo-religijnego zjednoczenia były cudownie patryarchalne, pełne głębokiej wiary, poezyi wysokiej i świętości, pierwsze wieki chrześciaństwa i wszystkie jego zdrowe i bogate owoce. Z nich wypłynął pokój Boży, pierwszy tamujący w wiekach średnich obfity rozlew krwi. Na bogatym gruncie chrystyanizmu poczęły się wznosić klasztory, te prawdziwe stowarzyszenia religijne, które przyjęły pod swoje skrzydła odradzającą się ludzkość. Misya jaką odegrały, szczególniej w wiekach średnich, daje im prawo niezaprzeczone zaliczenia się w rzędzie użytecznych stowarzyszeń. Co one zdziałały, jakie były rezultaty ich gorliwej pracy na drodze postępu, tak pod względem ich wpływu na prace człowieka materyalne jak duchowe, o tem przekonaną jest mniej więcej każda zdrowo myśląca jednostka. Gdyby nie klasztory, nie dobroczynne działanie tych chrześciańskich stowarzyszeń na wielką skalę, które wśród najgłębszej ciemności umysłowej wieków średniowiecznych, pielęgnując z miłością prawdziwie chrześciańską trzy zasadnicze ideje życia umysłowego: dobro, piękno i prawdę, przechowało nam to wszystko, co w długiej kolei wie-

ków zdobyła starożytność. One uratowały nietylko owoce geniuszów wieków zamierzchłych, ale wypielęgnowały przy swojem wielkiem ognisku niejeden geniusz, który w ciszy klasztornej, wśród burz jakie wstrząsały ówczesną ludzkością, pracował dla jej i przyszłych jej pokoleń dobra, one wreszcie były tą miłą, bezpieczną oazą burzliwych wieków średniowiecznych, na której łonie znajdował ochronę każdy cierpiący, gdzie samą tylko nauką i świętością równały się stany.

Trzecim objawem działalności ducha ludzkiego były gminy, owe niemniej rozumne wyniki wieków średnich, znane od dawna ludom słowiańskim. Te prawdziwe stowarzyszenia społeczne, dały początek związkom, jakiemi jednoczyły się miasta. Te związki dobroczynne zaprowadziły porządek, zapewniły bezpieczeństwo publiczne, sprowadziły dobrobyt, masom całym pracującym gromadziły bogactwa bajeczne, dawały miastom siłę materyalną, która skutecznie opierać się mogła, największej potędze jednostek.

Dzięki coraz żywotniejszemu rozwojowi idei stowarzyszenia, wspanialsze dziś jak przed siedmioma wiekami światło nauki, błysnąwszy oczom ludzkości, usuwa powoli to wszystko, co stawało na jej drodze, tamując postęp, przeszkadzając szczęściu ogółu.

Niepodobna w mej drobnej pracy rozwijać szczegółowo systematycznie wszelkich pojawów zbiorowych, dążących do usunięcia zastarzałych przesądów starego świata, gdyż nie piszę traktatu naukowego, lecz rzucam tylko myśli wprost z serca płynące. Dlatego też nie wdając się w długie wywody wszelkiego złego, które stowarzyszenia usunąć mają, kładę nacisk na straszne prawo starego świata, które coraz potężniejsze *zjednoczenie sił* znosi powoli. Tem prawem było: *bogaty pracuje i w końcu odpoczywa w obfitości dóbr—biedny pracuje za coraz mniejszą płacę a w końcu wszystkiego mu brakuje.*

Tej nędzy moralnej, którą ludzkość znosiła długo w niewolniczej pokorze, zapobiegło dziś skutecznie zjednoczenie sił wielu.

Pod wyrazym *dziś* rozumiem czasy nasze, w których społeczeństwa całe, pomijając nadużycia, występują w roli naturalnych, trwałych, pełnych, słowem uniwersalnych stowarzyszeń.

Tym wielkim naturalnym stowarzyszeniom, do których bezwiednie wszyscy należą, coraz wspanialej przyświeca słońce nauki. Ona to wchodzi obecnie w najdrobniejsze szczegóły bogatej idei zasady stowarzyszenia, bada wszelkie jej formy nacechowane rozumem i swobodą. Rodzina, gmina, ojczyzna, są to formy stowarzyszenia mniej więcej swobodne w działaniu i konieczne naturalną koleją rzeczy. Lecz są, że tak powiem, pewne kształty stowarzyszenia, pełnejszej, wyrozumowanej swobody: człowieka do człowieka, stosownie do celu zamierzonego, pomyślanej pracy, przedsięwzięcia mającego się dokonać wspólnemi siłami.

Otóż takie stowarzyszenie rozwinięte we wszelkich szczegółach przez naukę, zastosowane do pracy każdego człowieka i do każdego rodzaju tej pracy, nie pozwoli jednym, pomimo ciężkiej pracy umierać w nędzy, drugim bogacić się kosztem nędzy ogółu większości.

Oświeceni nietylko nauką ale i z własnego doświadczenia, poznaliśmy już przeszło od pół wieku, potrzebę i moc stowarzyszenia przemysłowego, dla uskutecznienia wielkich przedsiębiorstw pomnażających bogactw narodów, od lat 30 zaś próbują siły stowarzyszeń, jako środka sprawiedliwości, do rozdzielenia jednostkom bogactwa nabytego przez ogół, a w końcu jako środka postępu intelektualnego i moralnego.

Potrzeba stowarzyszenia czuć się daje wszędzie, wszędzie też gdzie tylko stowaszyszenie dało bezpieczeństwo, spokój, wcieliło się ono w życie społeczeństw z największą łatwością. Dług narodowy, banki, wielkie przedsiębierstwa handlowe i przemysłowe, są owocem tej potrzeby. Tym sposobem gromadzą się kapitały, łączą się interesa dla wspólnego dobra.

Stowarzyszenie wnika w sfery moralne i duchowe.

Na wierzchołku drabiny społecznej w całej Europie, tworzą się stowarzyszenia literackie, artystyczne, filantropijne, inne znów, wyłącznie z samych kobiet złożone, mające na celu rozszerzenie tak umysłowej jak ręcznej pracy niewiast; na dole tej drabiny zawiązują się stowarzyszenia pomocy wzajemnej.

Zjednoczenie nawet myśli, poparte przez masy w dobrym celu, wprowadziło w czyn to nawet, co się niepodobieństwem zdawało.

Lat temu trzydzieści, istniało w Anglii rozdwojenie pomiędzy dwoma siłami narodu: rolnictwem a przemysłem. Na czele pierwszego stali właściciele gruntów, przy drugim zaś grupowała się reszta narodu. Rolnictwo zostawało pod troskliwą opieką, bo prawa rozległe, ustanowione na zboże zagraniczne, nakładały wysoką cenę na zboże krajowe, wskutek czego lud angielski płacił miliard więcej za chleb spożywany. Wywiązała się wkrótce walka na słowa ludzi czynu i nauki. Jedni pragnęli utrzymania monopolu dla dobra samego rolnictwa, drudzy jego zniesienia jako bezużytecznego i szkodliwego dla ogółu.

Rozprawy trwały lat 7 wielki minister i wielki zarazem mąż stojący na czele arystokracyi, przekonany, uznał słuszność żądania wyrozumowanego i monopol zniesiony został. Handel zbożowy oswobodzony od krępujących go więzów, a robotnicy i masa ludu zyskują miliard, dotąd za chleb opłacany. Przemysł uwolniony od ciężaru wzmaga się, a z nim rolnictwo odnosi niespodziewane korzyści.

To samo zjednoczone rozumowanie zyskuje emancypacyą Irlandczyków, znosi niewolnictwo kolonii angielskich. W roku 1840 usuwa kilka szkodliwych monopoli, poczem następuje zupełne oswobodzenie handlu, a naturalną koleją rzeczy nieobliczone korzyści dla całych miast a zatem i dla całego społeczeństwa angielskiego.

Nie koniec na tem: nieustający ruch reform na drodze ciągłego doskonalenia, poprawia prawo kryminalne, utrzymuje świętowanie niedzieli (błogosławione dobrodziejstwo dla pracujących) zwraca uwagę na drobne dzieci zatrudnione w fabrykach, zmniejszając liczbę godzin ich pracy.

Co mogło wywołać te dobrodziejstwa społeczne?

Siła jedności zbiorowej złączona w duchu sprawiedliwości, prawdy i miłości pokoju.

Ale czy ten ruch stowarzyszeń ogarnął dopiero wiek dziewiętnasty? Nie!

Europa cała, a mianowicie Francya od 15-tu wieków idzie drogą postępu. Te drogi wprowadziły ludy, które najśmielej puściły się niemi, na ten wysoki stopień potęgi, pomyślności i wielkości, który się zowie cywilizacyą nowoczesną.

Ta cywilizacya wypłynęła z tego błogosławionego przeświadczenia, że każdy człowiek jako jednostka, stanowi wielką rodzinę społeczną, mającą prawo do sprawiedliwości, sympatyi i wolności osobistej, zapewnionej mu przez prawa. Ta idea ma źródło w chrystyanizmie, które ją wraziło w ducha społeczeństw całych.

Pierwsze owoce tej idei uwydatniły się, jakieśmy już wyżej powiedzieli, w siedm, ośm wieków temu w Europie, a mianowicie we Francyi w łonie stowarzyszeń pod rozmaitemi formami.

Lecz złowrogie moce wciąż stawały temu dobroczynnemu ruchowi na drodze. W wyżej wspomionym kraju, zawiązywanie stowarzyszeń zupełnie wzbronionem było aż do roku 1866, ale od niedawnego czasu, ukazały się one w kodeksie, w opiece udzielonej jednostce cywilnej.

Dziś Europa pokryta jest siecią stowarzyszeń. Jedne biorą w opiekę duchową stronę jednostek, dopomagając im zbiorowemi siłami do wspinania się tak wysoko, jak tylko duch zajść jest w możności. W tem świętem dziele szlachetnej pomocy, zwraca się już coraz mniej uwagi na różnice kastowe i płci, bo jak to jeden nasz myśliciel powiedział, kto wie czy nie słusznie: że w dziedzinie ducha nie ma płci.

Inne stowarzyszenia jak już wzmiankowaliśmy wyżej, mają rozległe cele filantropijne, zapobiegają szerzeniu się niedoli tak moralnej jak fizycznej, inne znów, a te są najliczniejsze i najlepiej zorganizowane, mają na względzie dobrobyt materyalny, który jest jedną z podwalin społeczeństw, bo na niej wspiera się trwale wspaniały ogrom machiny społecznej, dając możność swym członkom, zaspakajać łatwo potrzeby materyalne i z owoców dobrobytu wznosić przybytki dla wiedzy i ulżenia cierpień ludzkości.

Jakże pocieszający widok pod tym względem przedstawia nam Szwajcarya, a w Stanach Zjednoczonych, Nowa Anglia, a mianowicie Massachusetts, Rhode Island, w których to Stanach stowarzyszenia rozwinęły się najdzielniej. Tu każda gmina jest stowarzyszeniem, mającem pod swoim zarządem drogi, mosty, szkoły, akademie, kościoły, licea, biblioteki, kasy oszczędności, których liczba jest odpowiednią do potrzeb mieszkańców. Są one administrowane przez towarzystwa bezimienne. Każdy okręg posiada swój własny bank miejscowy, którego kapitał należy do mieszkańców okolicy i pozostaje w ich zawiadywaniu. W samym Massachusetts znajduje się 53 towarzystw ubezpieczeń, istniejących pod rozmaitemi formami. Towarzystwa tego samego rodzaju wznoszą fabryki zawiadując niemi zarazem. Kapitał zjednoczonych podzielony jest na akcye. Biorący udział w pracy, lub zarządzie są akcyonaryuszami, albo też zostają nimi w przyszłości, wskutek dzielnych usiłowań, roztropności i ducha oszczędności.

Towarzystwa zawiązujące się w celach dobroczynnych są bardzo liczne i prawie wszystkie mają zarząd bezimienny.

Statki służące do połowu również należą do akcyonaryuszów—majtek więc jest związany silnym interesem, wiele też zależy mu na dobrym połowie.

Każdy kapitan okrętu handlujący na Oceanie Wielkim, jest cząstkowym właścicielem tego okrętu, a ten wspólny interes pobudza go do pracy i oszczędności.

System ten, każdego z pracujących, tak majtka jak robotnika zarówno w osobie mężczyzny jak kobiety, zachęca do nieustannej działalności i wydaje spodziewane owoce.

Jeżeli przejdziemy do Anglii, i tu również pocieszający uderzy nas widok pod względem sił zjednoczenia. Zaraz na wstępie ujrzymy 40 robotników z Rochdale, którzy lat temu 30, zebraw-

szy wspólnie 700 franków, rozpoczęli z tym kapitalikiem dzieło odrodzenia umysłowego, moralnego i materyalnego robotników.

W samych początkach, ta garstka prawdziwych bohaterów pracy w świętej sprawie podjęta, zmniejszona do 20, wskutek nieudania się pierwszych kroków, ośmiela się bohatersko oznajmić społeczeństwu swemu co następuje.

1) Urządzić magazyn do sprzedaży produktów i odzienia, płaconych gotówką po zniżonej cenie.

2) Budować i kupować dla stowarzyszonych wygodne domy, mające wszelkie warunki higieniczne.

3) Dostarczać potrzebnych produktów, w celu obniżenia cen, nadto obmyślać środki do pracy dla stowarzyszonych.

4) Nabywać grunta do podziału na własność dla akcyonaryuszów.

5) Poświęcać część zysków na zakładanie szkół dla członków stowarzyszenia.

6) Nakoniec pomagać w miarę możności innym podobne cele mającym stowarzyszeniom.

Wszystko zamierzone udało się jak najdoskonalej, cel w zupełności osiągniętym został.

(*D. n.*)

CHŁOPSKA DOLA.

I.

Przyszło wątłe, żal się Boże, —
Nędza je zrodziła, —
Przyszło na świat, a na dworze,
Miecielica wyła...

W kołyseczce, jak w trumience, —
Z gruba ociosanej, —
Złożyły ją ojca ręce —
Czarne, spracowane...

Ni ją pieścił promyk z góry,
Po twarzyczce białej, —
Ni ją ptaszki srebrnopiórej
Piosnki kołysały...

Ni w kołysce były dla niej —
Świeże, miękkie puchy, —
Wiązka siana za posłanie, —
Szmaty — za pieluchy!

II.

Zbiegło słonko na doliny,
Do wiosny — kochanki, —
I wykwitły rozmaryny,
Na weselne wianki...

Ejże, pisklę z chaty ciasnej,
Do ogródka nuże! —
A zapłoną zdrowe, krasne
Na twem liczku róże...

I przywykną oczy twoje
Poglądać na słońce,
I motylków poznasz roje,
Na zielonej łące...

Wiele dźwięków, barw nieznanych,
Wskaże ci natura, —
Takich, jak ty — zapomnianych,
Rodzicielka wtóra! —

III.

Wiele razy krzew zmrożony
Z śniegów się wyłonił, —
Wiele razy sad zielony,
Liście swe rozronił;

W chacie matka postarzała, —
Ojca — zmogły troski, —
Aż z pisklęcia wybujała,
Krasawica wioski...

Gdy ubierze się w sukienki,
W jakie święto Boże, —
To piękniejsza od panienki, —
Co mieszka we dworze...

Kiedy spojrzy czasem rzewna,
Czarnemi oczyma, —
To zdaje się, że królewna,
Że piękniejszej nie ma...

IV.

Smutno w chacie... częściej płynie
Piosnka mimowiedna, —
Niewesoło snadź dziewczynie,
Że tak sama jedna...

Każda chwilka przedumana
Kończy się piosneczką:
„Ej, gołąbko rozgruchana,
Pora wić gniazdeczko!"

Przyszedł chłopiec w jedno rano,
W ubogiej siermiędze,
By zespolić z ukochaną
Pracę, głód i nędzę...

Przyszedł inny, lecz bogaty,
Choć starzec bez mała, —
I — zrobili swoje swaty,
Bo tak... matka chciała.

V.

Głos rozebrzmiał od dzwonicy,
Płyną gości roje, —
Śpiesz że, doniu, do świetlicy,
Po weselne stroje...

Doniu! — co ci?... czemuś zbladła,
Czemu łzy ci cieką?
Rzuć te smutne snów widziadła:
Drużki niedaleko...

A twój luby!... że takiego
Daj każdemu, Panie, —
Nie poskąpi ci niczego,
Za twoje kochanie...

Donia patrzy i nie słucha,
Gorzkie łzy połyka,
A w podwórku już od ucha
Wiejska tnie muzyka...

VI.

I stanęła przystrojona
Przed kościelnym progiem, —
I odeszła rozżalona
Przed ludźmi i Bogiem...

Matko! za barwiste stroje,
Za bielone ściany, —
Wiął jedynie dziewczę twoje
Starzec niekochany.

Ejże, matko, źleś wróżyła
O dziecięcej doli, —
Nie wiesz jaka żalu siła,
Kiedy serce boli...

Twa dzieweczka ukochana,
Jak kwiat schnący, chory,
Jak topolka nadłamana —
Traci swe kolory...

VII.

I kolory traci swoje,
I smutnie się żali:
Piosnki moje, śpiewne moje —
Coście wyśpiewali?...

Srebrnogłosa ptaszko mała —
Nie budź mnie o świcie,
Bo już moja posmutniała,
Gwiazdka na błękicie...

Posmutniała moja chatka,
Samotna, beze mnie...
Ejże nawet może matka
Tęskni, lecz daremnie...

O nie przyjdę już, rodzona, —
Do ciebie z śpiewaniem, —
I nie zwisnę ci u łona
Z głośnem całowaniem...

I nie schylę się z piosenką,
Na zielonej grzędzie...
Pożałujesz, matuleńko, —
Ale późno będzie!...

VIII.

I upadła na posłanie
Z rozpuszczoną kosą...
Ej! — już chyba nie powstanie,
Aż — obcy podniosą...

Leży smutna, leży blada,
A przez okno chaty
Promieniące światło pada,
Zaglądają kwiaty, —

Za okienkiem chwieją drzewa
Gałązki świeżemi...
Nad okienkiem ptaszek śpiewa
O piękniejszej ziemi...

A ją biedną opuściły
Władze do ostatka:
Ludzie! czuję chłód mogiły: —
Matko! gdzie jest matka?

IX.

Jest ustronie niemieszkane,
Gdzie się smutki koją,
Rosną kwiaty tam posiane,
I krzyżyki stoją...

Nad krzyżykiem, klęknie czasem
Ktoś — i łzę uroni, —
I nad mogił mchem atłasem,
Ciężko się posłoni...

I nadeszło jedno rano
Z wiatrem, niepogodą, —
Zapłakano, zaśpiewano
Nad umarłą młodą...

I przynieśli grób drewniany,
Przyszedł ksiądz w żałobie...
Kwiatku! życiem nadłamany, —
Wieczny pokój tobie! —

X.

Przyjdą ciemne, mroźne noce,
Wicher w grób uderzy, —
I słabiuchny krzyż zgruchoce, —
Z nad mogiły świeżej...

A gdy znowu darń zielona
Cmentarze przysłoni, —
Próżno matka rozżalona,
Przyjdzie szukać doni...

Nie wie biedna, że mogiła
Dba o trupy mało, —
Że ta brzoza zapuściła
Korzeń w córki ciało...

Zresztą — prędko łzy rozmiecie
Oddalenia siła —
I zapomną, że na świecie
Kiedyś *ona* żyła...

Krótko, słabo, moc wspomnienia
Na maluczkich działa...
Prędko życie rozramienia
Martwe cząstki ciała!...

Józef Korwin.

LENA.

NOWELLA

ZORJANA.

PANI ANTONINIE

Autor.

— Widzisz tateczku, jak się tam dzieci wesoło bawią — mówiła siedmioletnia dziewczynka do ojca, z którym siedziała na ławce miejskiego ogrodu. Rękami zawisła na ramieniu ojca i główkę skłoniła ku niemu. Oczy jej spoczywały na grupie dzieci, które tam nieopodal igrały na trawniku.

— A teraz biegną dzieci do tej pani, co z robótką siedzi pod drzewem.

— I taka ładna dziewczynka jest między niemi, jak ty moja Leno — odpowiedział ojciec, głaszcząc bujne włosy, spływające z pod słomkowego kapelusza.

— Jak się wszystkie garną do tej pani, to pewno ich matka — a potem, zwiesiwszy smutnie główkę, dodała ciszej — a ja nie mam mamy...

Ojciec pocałował swą sierotkę w czoło, a chcąc rozpędzić smutek, co na wspomnienie matki rzucił cień na pogodne liczko dziewczynki, odezwał się:

— Pobiegaj trochę, ja ci przyniosę kwiatów, daj mi twój koszyczek.

— Gdybym się mogła z temi dziećmi bawić — mówiła Lena, patrząc ciągle w stronę wesołej gromadki. Dzieci też ją spostrzegły i spoglądały ku niej. W tej chwili podrzuciło któreś z nich balon barwisty, który spadł i potoczył się po piaskiem wysypanej ścieżce ku Lenie. Lena z radością podjęła go i poskoczyła ku dziatwie oddając; dzieci podziękowały i zaprosiły małą nieznajomą do współudziału w zabawie.

Lenie aż oczki zajaśniały z radości, i z początku nieśmiała, zachęcona przez matkę wesołej drużyny, swobodnie oddała się zabawie.

Kiedy dzieci zmęczone, skupiły się dla chwilowego odpoczynku koło matki, Lena stała na boku, dziwnie płomiennym i smutnym zarazem okiem spoglądając na małych towarzyszy i ich matkę. W spojrzeniu tem mieszały się: tęsknota i coś, jakby zazdrość dziecięca — sierota nie znała pieszczot matczynej ręki, z bólem i zazdrością patrzała na szczęśliwych rówienników.

A oko matki, czy odgadło ten dramat w dziecięcem serduszku, czy podobało sobie śliczną, rumianą dziewczynkę, dość, że przywołała ją do siebie, odgarnęła jasne włoski z czoła i przypatrywała się z zajęciem.

— Jak ty się nazywasz? — zapytała.

— Lena.

— To ładne imię.

— Tak się moja mama nazywała — dodała Lena smutnie.

— Więc ty już nie masz mamy?

— Nie mam — odpowiedziała jeszcze smutniej, a w oczach jej zaperliły łzy i po gładkiem zaczęły się toczyć liczku.

Nieznajoma pani widziała ten smutek dziecięcia i zrozumiała go. Przytuliła Lenę do piersi. Lena całowała jej ręce, a łzy wywołane wspomnieniem matki, spadły na dłoń tej, co choć obca, umiała macierzyńską czułością osłodzić sierocie jedną chwilę.

Teraz spostrzegła Lena, że ojciec już powrócił z koszyczkiem pełnym kwiatów i przypatrywał się jej. Poskoczyła więc ku niemu, a na twarzy jej jaśniał promyk szczęścia.

— Tateczko, jaka ta pani dobra — zawołała przypadając do kolan ojcowskich, a biorąc koszyk z kwiatami, zapytała znów smutniej:

— Prawda, tatku, moja mama była także taka ładna i dobra?

Na twarzy ojca, który był ciągle smutny, przebiegł dziwny ból. Smutek tak przyrosł do jego pięknej i szlachetnej twarzy, że chyba inaczej niepodobnaby jej sobie wyobrazić, lecz ból, który w tej chwili szarpał spokojne rysy, nie takim był, jak zwykle daje się widzieć w dniach żałoby po zgonie najdroższej osoby. Coś w nim było głębszego, niezwykłego.

Lecz widać i nad tem nauczył się już panować; zawsze myślą zwrócony tylko do swej ukochanej Leny, i teraz spiesznie rzucił odpowiedź:

— O, tak, bardzo była piękną.

U niego był smutek cięższy i trwalszy; dziecko, choć ciągle zwracało się myślą do matki, której nie znało, a do której tęskniło, dzieckiem było, więc łatwo ulegało wrażeniom. Jeszcze przytulona do ojca, przerzucała kwiaty, wybierając co najpiękniejsze. Z pękiem ślicznych róż w jednej ręce, z koszykiem w drugiej, pobiegła do swoich nowych znajomych, darząc za chwilę wesołej zabawy kwiatami. Najpiękniejsze dostały się matce, inne dzieciom.

Po chwili dzieci znowu wesoło bawiły się na zielonym kobiercu gazonu.

A ojciec?

Siedział samotny na ławce, czasem szukał spojrzeniem swej Leny, częściej zatapiał wzrok gdzieś daleko, a na jego czole ani na chwilę nie zajaśniała pogoda.

Tak upłynęło chwil wiele. Wreszcie zawołał Lenę, kazał pożegnać panią i dzieci, i poszli do domu.

Kto oni?

On, człowiek majętny — wielu mu tego zazdrościło, mówiąc: głupi człowiek, nie umie korzystać z majątku, smutny i smutny, wziął rozbrat ze światem i życiem. A przecież nie ma to jak używać — a, gdybym to ja miał jego pieniądze, a mój rozum... Tak mówili; a ceniąc jego pieniądze, pomiatając rozumem, zapominali o sercu. A może i nie zapominali, wszak mówili „głupi", a to miało oznaczać, że ma serce. Czy mieli słuszność? Trudno powiedzieć. Każdy ma swoje zasady, lub przynajmniej udaje, że je ma, wyraża się odpowiednio do nich i sądzi, że najrozumniejszy. Wiemy już, że był majętnym, lecz dlaczego smutny? O tem ludzie mówili wiele, lecz dziś już mówić przestali. Ten i ów wspomniał o nieszczęśliwej miłości, inni wzruszali ramionami i szeptali na ucho, a każdy inaczej. Prawda, wszakże był smutny na wspomnienie matki Leny, swej żony, która umarła. Tak mówił swej córce, Lenie, sierotce. Tak mówił on, lecz ludzie mówili inaczej, a ludzie przecież wiedzą wszystko, ludzie ci poczciwi, co zawsze się troszczą o drugich, a nigdy o sobie nie pamiętają. Ludzie mówili, że matka Leny żyje, a on odpowiadał Lenie, gdy go pytała:

— Tateczku, czemu my kiedy na grób mamy nie pójdziemy?

— To bardzo daleko, moje dziecko... we Włoszech.

— To pojedźmy.

— Dobrze, dobrze, ale później, dopiero gdy będziesz starszą.

Dziecko wiedziało to tylko, co ojciec mówił i wierzyło temu; co ludzie na ucho rozpowiadali nie słyszała, modliła się za mamę swą nieznaną, a którą sobie zawsze śliczną wyobrażała, i płakała czasem. Nie słyszała, a pewno nie rozumiała dlaczego ojciec, którego słowa dziecięcej modlitwy dolatywały, długo, długo w noc chodził po swoim pokoju, a dnia następnego był smutniejszy niż zwykle.

W towarzystwie innych był Ryszard zawsze spokojny, obojętny, mówiono, że za chłodny. Można było odgadnąć minioną jakąś burzę, sam zaś nigdy nic nie wspomniał. Tylko gdy był samotny wpadał czasem w długie zamyślenie, lub też, gdy Lena naiwnie szczebiocąc potrąciła o wspomnienie z dni ubiegłych, wówczas ból rysował twarz a oko zapadało głębiej i ciemniało smutkiem.

Bo też Lena nie mogła godziny przesiedzieć spokojnie, żeby nie zapytać o jaki szczegół z życia nieznanej matki. Raz przyszła zapłakana z popisu w pensyonacie, bo ją żal ścisnął na widok szczęśliwych koleżanek, które u boku swych matek wracały uradowane, choć może nie tyle pochwał zebrały, co Lena. To znów opowiadała ojcu o jakiejś dziewczynce żebrzącej, której niedawno matka umarła. Upierała się koniecznie, żeby ojciec przyjął tę sierotę do swego domu, bo ona taka biedna sierota bez matki!

Ojciec był w niemałym kłopocie, widząc to dziwne uczucie rodzące się w sercu Leny, tę tęsknotę, która zaczynała przechodzić w dziecięcą egzaltacyą.

Zkąd się to brało?

Zapobiegliwy, kochający nadewszystko swe dziecię ojciec, szukał daremnie sposobu zapobieżenia

temu. Wymyślał tysiące rozrywek, znosił zabawki, prowadził do ogrodów, dość często nawet chodził do teatru, byle tylko córkę rozbawić, zmusić do zapomnienia o nieznanej mamie.

Lena była żywego usposobienia, więc łatwo i prędko przechodziła cały szereg wrażeń, przerzucała swą uwagę z przedmiotu na przedmiot. Ztąd też starania ojca coraz więcej napotykały trudności. Rozrywki, które wynajdywał, nie bawiły Leny długo; wkrótce sobie je sprzykrzyła. Najwięcej ją zajmowała nauka. Była bardzo pojętną i chwytała każde słowo początkowej nauki chciwie. Chętnie spieszyła do pensyonatu, do którego ją ojciec posyłał, z niemniejszą ochotą siedziała przy swej guwernantce słuchając jej z uwagą.

Lecz smutek wracał ciągle. Był to zresztą objaw dość dziwny. Gdyby Lena była swą matkę znała, gdyby choć najbardziej zatarte wspomnienie zachowała w pamięci, tęsknota jej może byłaby łatwiejszą do wytłomaczenia, tak trudno pojąć zkąd się ten żal i tęsknota wzięły. Prawda, sierotom zwykle krewne jakieś zastępują choć w części matkę, zajmują się ich wychowaniem. Lena z krewnych nie znała nikogo. Ojciec jej nie wspominał nigdy o żadnej siostrze, ciotce lub kuzynce, których przecież każda rodzina ma pod dostatkiem, wychowaniem córki zajmował się sam, reszty dopełniały sługi, bona, guwernantka. A toż przecie wiadomo, że sługa, choćby najbardziej dziecię pieściła, serca nie da ani odrobiny. Więc dziecku zawsze zimno — chyba lepiej, rodzinniej na sercu ojca, a gdy to smutne, zbolałe, cóż dziwnego że często popłacze i tęski za czemś nieznanem.

Matki nie miała, a jednak odczuwała ją, rozumiała całą potęgę znaczenia tego wyrazu. Ileż bardziej echo to odbijało się w jej serduszku, gdy dziatwa, w śród której spędzała czas w szkółce, ciągle szczebiotała o matkach. Ojciec posyłał ją do szkoły, aby się rozerwała, aby wychowana i uczona sama, w zamknięciu niemal, nie tęskniła zbyt do towarzystwa rówienniczek; lecz ile to było korzystnem, tyle znów podsycało tęsknotę; bodaj czy nie osobny rodzaj zazdrości. Bo chyba nie zaprzeczy nikt, że dzieci są o swe matki zazdrośne, o ojców, już nie tyle. Ojciec ledwo kilka chwil lub godzin spędza w towarzystwie dzieci, matka na chwilę nie spuszcza je z oka. Cóż więc dziwnego, że Lena zazdrościła swym towarzyszkom, gdy te co drugie słowo wspominały matkę.

Mama mi to kupiła, mama uszyła sukienkę, mama ubrała kapelusik kwiatkiem, mama mnie weźmie na przechadzkę i t. p. Dla Leny tem wszystkiem był ojciec. Tej różnicy nie mogła Lena nie spostrzedz. Dlaczego wszyscy mówią o swych mamach, a ona tylko jedna nie może nigdy wspomnieć swej matki. Bo cóż będzie mówiła? Wszakże jej nawet nie znała, wszak o pieszczotach matki nie miała nawet pojęcia. A ojciec, ten kochany, dobry ojczulek, który tak dbał o swoją Lenę, nigdy nie chciał jej nic o mamie mówić, a gdy go co chwilę zapytywała, ledwo wymijające dawał odpowiedzi.

Smutek dziecka rósł ciągle, egzaltacya zaczęła niepokojące przybierać kształty, rumiana twarzyczka pobladła, i oczki coraz częściej zachodziły mgłą zamyślenia i łez.

Lena była dzieckiem i odczuwała coś, lecz nie wiedziała zkąd jej to wszystko przychodziło. Ojciec rozumiał ból córki, a doznawał uczucia stokroć boleśniejszego. To, czego dziecko nie rozumiało, on rozumiał. Widział w tem zachowaniu się Leny odzywające się prawo natury, i czuł wyrzuty sumienia, które bólem rysowały mu się na twarzy. Im smutniejszym, bardziej milczącym był ojciec, tem większa tęsknota owładała Lenę; ona nie wiedziała, że to jej słowa, jej smutek wprowadza ojca w taki stan.

Ojciec nie widział już rady, a kiedy jeszcze Lena zasłabła, uciekł się do pomocy lekarzy. Jednemu z nich, któremu najbardziej ufał, opowiedział przyczynę, jak się domyślał, słabości Leny, i żądał rady. Lekarz skonstatował osłabienie i pewien rodzaj zmęczenia umysłowego, w skutek ciągłego zajmowania się jedną i tą samą myślą, a myślą w dodatku smutną, i polecił rozrywkę, połączoną z korzystną zmianą fizycznego położenia. Może dla wątłego zdrowia dziecka byłoby najlepiej zmienić klimat i pojechać na Południe. Lena się rozerwie; chciwa wrażeń, będzie ich miała podostatkiem, zapomni o swej fantazyi, bo tak to tęsknienie do nieżyjącej matki nazwał lekarz, i po roku lub dwóch będzie zupełnie zdrowa i wesoła.

Lekarz radził dobrze; ojciec nie mogąc wymyślić nic lepszego, zgodził się na projekt, i przygotował do podróży.

Pojechali na południe. Ojciec, Lena i niemłoda już Szwajcarka, która zebrawszy trochę grosza z wieloletniej pracy, jako bona, dziś wracała do swych stron rodzinnych, do południowej Szwajcaryi. Bardzo jej było na rękę, że ostatni obowiązek, jaki spełniała, zawiódł ją do ojczyzny; nie pytała wcale o to, że w tym samym czasie, ci którym służyła, rozpoczynali tułaczkę po świecie, nie wiedząc, jak się ich dola zmieni. Ryszard był o tyle zadowolony, że miał dla Leny towarzyszkę i opiekunkę, która znając okolice północnych Włoch, dobrą mogła być przewodniczką i wskazówkami i opowiadaniem niejedną sprawić rozrywkę.

Więc pojechali.

Nikt ich nie żegnał, nikt ani jednej łzy żalu nie otarł. I oni też serc nie zostawili w domu, bo dom był pusty, oni tacy byli osamotnieni. Cały skarb uwozili ze sobą. Ojciec swą Lenę przytulał do piersi — Lena kosztowną miniaturę swej matki. Dziwnie się zdarzyło, że Lena teraz dopiero po raz pierwszy dostała do rąk ten wizerunek. Ojciec go ukrywał starannie, a Lena o to nie pytała, bo ani wiedziała o tej tajemnicy. Zawsze pytała o swą matkę, czy była ładna; jakie miała oczy; ojciec odpowiadał jakoś nieśmiało, jakby się wstydził i milknąc urywał rozmowę. Dopiero na odjezdnem schwytała go Lena na gorącym uczynku. Przygotowywano do podróży, pakowano wszystko, szukano po domu, by czego nie zapomnieć, słowem krzątania pełno. Ojciec siedział przy biurku pochylony, wzrok jego spoczywał na obrazie, a dusza cała tak w nim utonęła, że ani się spostrzegł, jak Lena wbiegła do pokoju szukając go, jak zatrzymała się chwilkę, widząc ojca zatopionego w myślach, jak wreszcie na palcach zbliżyła się cichutko i popatrzywszy z zajęciem na obrazek, zawołała chwyciwszy go oburącz:

— Tateczku, jaka to śliczna pani! — a wpatrując się jeszcze bardziej, dodała: to pewno jest moja mama!

Ojciec tak zaskoczony niespodzianie, nie wiedział co odpowiedzieć, a kiedy usłyszał ostatnie słowa Leny, tak dziwnie na nią spojrzał, takie przerażenie ze zdumieniem zmieszane odbiło się na jego twarzy, jak gdyby na gorącym, a złym schwytany był uczynku.

Lena tymczasem chciwie wpatrywała się w wizerunek pięknej kobiety i przyciskając go do ust, wołała:

— Mama moja droga, biedna mama!

Swawolne z radości dziecko biegało po pokoju tuląc to do ust, to do głośno bijącego serduszka portret matki.

— Teraz drogi tateczku musisz mi darować ten obraz, tę moją ładną mamę, bo ja ci jej już nigdy, nigdy nie oddam.

Lena już od kilku tygodni była słaba i blada, a radość rzadko szczerym wybuchała śmiechem. Teraz tak była inną, tak nagle zmieniona, że ojciec, któremu cała ta scena z początku widocznie była przykrą, patrzał tylko z zachwytem w śliczną zarumienioną twarzyczkę swej ukochanej pieszczoszki. Zapomniał zupełnie, że w pierwszej chwili chciał dziecku obraz odebrać, że nawet już miał na ustach przykre słowo wymówki, patrzał na zmianę zaszłą w jego oczach i za nic w świecie nie byłby odebrał tego, co Lenę czyniło tak szczęśliwą.

Długo, długo nie mógł słowa przemówić, oczy tylko ciągle pochłaniały dziecko, wreszcie wyrzekł:

— Tak, to obraz matki twojej, Leno, — a jakby do siebie dodał ciszej — taka piękna, tak podobną była do tego dziecka, pamiętam ją z takim samym uśmiechem szczęścia...

Wspomnienie mgłą zasłoniło źrenicę, a smutek mieszał się z radością, bo na szyi ojca zawisła szczęśliwa Lena.

Pojechali.

Szybki ruch pociągu, migiem przelatujące pola, ogrody, łąki, domy i lasy, słowem tysiące coraz to innych przedmiotów, wszystko to wpływało na usposobienie Leny korzystnie. Klaskała radośnie w dłonie, śmiała się i co chwilę od jednego okna przebiegała do drugiego. Ojciec cieszył się radością dziecka swego i szczęściem Leny zdawał się być szczęśliwym.

Po kilka dni bawili dla wypoczynku w każdem większem mieście, a Lena, choć nie rozumiała jeszcze życia, choć nie zwiedzała zbiorów dzieł sztuki i muzeów — byłaby pewno tyle z tego rozumiała, co połowa zwiedzających dla mody i zwyczaju — odżywała życiem gwarnem i ruchliwem. Wszystkiemu przypatrywała się ciekawie, wszystko ją zajmowało, o wszystko pytała to ojca, to Szwajcarki.

Ojciec spoczywał okiem zawsze tylko na swem dziecięciu, odgadywał myśli i zachcenia, starając się we wszystkiem je wyprzedzić. Na takie rozpieszczenie patrzałby kto inny ze zgrozą, lecz ojciec nie zastanawiał się wcale nad tem co czynił, on odczuwał tylko pragnienia swej Leny i dla jednego jej uśmiechu oddałby wszystko, byleby tylko nie wycisnąć z jej jasnego oczka łezki, poświęciłby nawet siebie. I bardzo to naturalne. Prócz Leny nie miał nikogo, ją kochał nad życie, dla niej żył tylko, więc pieścił i dogadzał, czując, że ta miłość będzie dla dziecka krynicą życia. On bezwiednie wprowadzał w życie tę wiarę, że wielka miłość rodziców ku dzieciom, jest dla nich w zaraniu żywota wszystkiem, jest pierwszym posiewem, z którego plon osłodą i wzmocnieniem będzie wszystkich dni. Nie uczył się jeszcze tego, lecz przeczuwał, że ta miłość w dobrem więcej zaważy, aniżeli wszystko złe powstałe z pieszczot i dogadzania, często nawet kaprysom. Nie myślał o niczem, tylko o tem, że Lena przed kilku jeszcze dniami była bladą i smutną, że oczy jej marzące kąpały się nieraz we łzach, a dziś rumia-

na i szczęśliwa śmiała się do życia oczętami modremi.

Dzień po dniu upływał wśród ciągłych rozrywek, coraz to nowe przesuwały się przed oczyma obrazy, z dniem każdym zbliżali się do kresu podróży. Tym kresem była rozkoszna Italia.

Znasz li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa;
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?
. . . .

Italia, cudowna, wiecznie kwitnąca!

Jak dziwnie ponętny to kraj; ile westchnień u nas, na północy z piersi się dobywa, by choć raz ujrzéć ten raj, choć raz odetchnąć pełną piersią balsamicznem powietrzem w cytrynowym gaju, choć jedną chwilę przemarzyć pod włoskiem niebem! Tak marzą tysiące i zazdroszczą tym szczęśliwym, którzy jadą do Italii, a nikt nie wspomni, że połowa tych podróżników to rozbitki; drugiej połowy część większa jedzie aby wałęsać się po zbiorach, muzeach i galeryach, by stąpać po mozajkowych posadzkach świątyń i pałaców, przypatrywać się zwalonym gruzom przeszłości. Z tych wszystkich jakże mało zdolnych do uniesień na widok piękna, jak mało jest takich co wśród ruin wielkiej Romy potrafią przenieść się myślą i duszą w odległą przeszłość i patrząc oczyma na zdruzgotane resztki dawnej świetności i potęgi, zdolni ją w wyobraźni całą i piękną odbudować. Najmniej zaś takich co jedynie dla włoskiego jadą nieba.

Bo też wiele zaparcia samego siebie potrzeba, ażeby pominąć setki zbiorów, tysiące osobliwości i niezliczoną ilość dzieł sztuki, a osiąść w rozkosznej okolicy, oddychać pełną piersią wśród bogatej przyrody i podziwiać to, co zrozumie, odczuje każdy. To trudne. Więc jadą do Rzymu, Florencyi, Medyolanu, Wenecyi, chodzą do upadłego po wszystkich muzeach, kościołach, pałacach, ciągną przez wielkie sale i długie galerye, patrzą na tysiące dzieł sztuki i zabytków przeszłości, a nie widzą nic prawie, bo gdyby rozliczyć czas dokładnie, to nie wiem czy na obejrzenie każdego przedmiotu po kilka sekund by wypadło. W głowie powstaje chaos, zamęt, z tym wraca się do domu, aby powiedzieć: byłem, we Włoszech, widziałem wszystko, sześciu ciceronów oprowadzało mnie po Rzymie, wszyscy objaśniali, opowiadali, a ja słuchałem tego wszystkiego, dziś wracam pełen dumy i mogę śmiało powiedzieć: byłem, widziałem—lecz nikt ponoś nie przyzna się do największej prawdy: nie rozumiałem nic!

Nasi znajomi cel mieli inny. Ryszard Włochy już znał, smutna jego dusza nie mogła dziś rozmawiać z wielkiemi dziełami sztuki, lecz mogła znaleźć ukojenie wśród uroczej, pełnej poezyi przyrody. Tam też chciał szukać rozrywki dla Leny, która dzieł sztuki by nie rozumiała, a zawrotem głowy jej egzaltacyi leczyć nie chciał. Szukał ustronia spokojnego, pięknego, i wybrał Como nad uroczem jeziorem o półtory godziny drogi od Medyolanu.

* * *

(D. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Zofia Rudnicka: **Obrazki z życia i prawdy.**

W bibliotece nowości, wychodzącej we Lwowie nakładem księgarni Łukaszewicza, w tomie XVII mieszczą się cztery obrazki napisane przez panią Zofię Rudnicką.

W pierwszym swoim obrazku *Marysia Stecka* mającym być „prawdziwem opowiadaniem wieśniaczki", podnosi nieograniczoną miłość Marysi.

Marysia jest dziewuchą wiejską i kocha szalenie Fedka, parobka młodego i żwawego, kocha go prawdziwie, silnie i namiętnie od najmłodszych lat swoich. Fedko odpłaca tę miłość, podobnież uwielbiając Marysię. Ale tymczasem nastaje pobor, Fedka zabierają, a Marysia z tęsknoty i żalu choruje... bardzo choruje... Ojciec Marysi niszczy się na doktorów i leki, a nawet stracił i koniki, które padły przy odstawie Fedki... To też w chacie bogatego dawniej gospodarza, dał się czuć niedostatek i bieda...

Szczęściem, że jeszcze staremu wieśniakowi do pomagał młody, a zwinny parobek Iwan, który też od dawna kochał Marysię...

Tymczasem Fedka pognali na „kraj świata"... A Marysia?...

Marysia zawsze tęskni za Fedkiem, kocha go i ciągle widzi go przed oczyma. Proponowane przez ojca małżeństwo z Iwanem tylko do żalu większego pobudza nieszczęśliwą Marysię, która jednak zmuszona uwagami księdza proboszcza, ślubuje Iwanowi — ale zaraz po ślubie zamyka się w komorze i znów, tęskniąc za Fedkiem, żyje samotnie...

Wreszcie i temu ksiądz proboszcz zaradził... Iwan jest dobrym mężem. Marysi na niczem nie zbywa, a jednak Fedka zapomnieć nie może...

Dał Bóg dzieci, ale i zabrał, i ledwie ostatnia parka się chowa. Wtem do wsi przybywa jakiś żołnierz... ułan... Był to Fedko. Na wieść o tem Marysia rzuca dom i biegnie powitać się z nim: rzuca mu się na szyję i płacze i cieszy się...

Szybko jednak przeszła ta szczęśliwa chwila... Dzwon południowy przypomina obiad i Marysia śpieszy do domu, gdzie zastaje już Iwana, którego pijaczka Naścia o wszystkiem uprzedziła.

Marysia nie zapiera się i przyznaje się mężowi... Iwan rozdrażniony porywa pręt i w gniewie uderza Marysię, w której obronie staje Fedko.

Słowa Fedki wzruszają Iwana, dopuszczającego się pierwszy raz tego czynu. Przeprasza Marysię, a nawet pozwala Fedkowi bywać w swoim domu... Mija tak parę tygodni. Iwan chodzi do łupania kamieni i nadal pracuje, aby Marysi na niczem nie zbywało. Jednakże pewnego dnia po robocie powraca nieswój, niezdrów; przerwał się ciężarem i pomimo udzielonej przez doktora spiesznej pomocy, w parę dni umiera.

Marysia płacze, tęskni... zdaje się jej że przestała kochać Fedka, ale w końcu wychodzi za niego, a Bóg pociesza ich synem...

Fedko jest uczciwy, kochający mąż i prawdziwy ojciec dla dzieci Iwana, których do równej części swego majątku przypuszcza.

W drugim obrazku p. t. *Nie zawsze trzeba wierzyć.* Sierota Lola, po śmierci matki przybywa do swojej ciotki, pani konsyljarzowej, zamieszkałej wraz z swoim synkiem Guciem, aplikantem sądowym, we Lwowie.

Pomimo jednak surowych zakazów mamy, Gucio nie zważając na przyszłą swoją karyerę polityczną, podkochuje się w Loli, która odwzajemnia mu się szczerą i prawdziwą miłością. Ale Gucio nie ma zamiaru ożenić się ze swoją kuzynką i przeklinając ziemię, siebie i owe złe losy, które sprzysięgły się na niego, dając mu posadę *bezpłatnego auskultanta*, radzi jej z całego serca wyjść za mąż, za starającego się o nią p. Józefa Brzeskiego.

Lola radę spełnia ale nie zapomina nigdy o Guciu... czekając płatnej jego posady, a raczej podstaw, które pozwolą mu działać jako człowiekowi niezawisłemu w wytoczeniu p. Józefowi procesu rozwodowego. Ale Gucio nie pisze—a Lola wpierw dowiaduje się o jego wakansie z gazet rządowych, niż z listu przyrzeczonego. Rozkochana sądzi, że Gucio chory i nie może napisać, ale wie dobrze, że to właśnie nadeszła ta chwila, w której ma zostać jego dozgonną przyjaciółką i żoną.

To wystarcza do zrobienia małej awanturki w domu po której Lola porzuca męża i udaje się do swojej ciotki do Lwowa...

Ciotka pakuje się i wyjeżdża... Gdzie?... Oto Gucio się ożenił. Na taką wieść Lola wpada w nerwowe spazmy, a p. Józef uwiadomiony przez panie konsyliarzowe, przyjeżdża po swoją żonę... Lola widząc że była oszukaną... z radością wita męża, tuli się do niego i już mu więcej awantur w domu zapewne wyprawiać nie będzie.

W trzecim z kolei obrazku p. t. *Nina*, w którym autorka wprowadza nas na folwarczek pana Jakóba, dwie kochające się siostry Mila (Emilia) i Nina (Antonina) prowadzą rozmowę o tem i owem, a w szczególności o charakterze panny Niny, która śmieje się z uczucia miłości i nazywa to dziecińwstwem.

Nina jest ładną... nawet czarującą. Dlatego też młodzi chłopcy lgną, jak do lepu, aby potem zostać wyszydzonymi. Pomimo tego Nina, nie kochając się wychodzi zamąż za p. Konstantego, człowieka uczciwego i rozumnego. Małżonkowie są szczęśliwi, ale Nina jak nie kochała tak nie kocha, chociaż już trzeci rok za mężem i w życiu swojem dwudziesty dziewiąty spędziła...

Wtem interesa zmusiły p. Konstantego do pomiaru własnych dóbr, prosił więc swego przyjaciela, pana Juljusza, aby raczył przybyć i uskutecznić tę robotę. Juljusz przyjechał. Był to młody, przystojny człowiek, tylko miał tą jedyną wadę, że się bał kobiet, a przynajmniej unikał ich stanowczo, co bardzo drażniło panią Konstantową. Dla igraszki więc postanowiła zkokietować Juljusza. I tak też się stało, ale niestety! zakochała się sama.

Bal u państwa Ludwików był ostatnim kresem miłości i zarówno przyczynił się złym językiem panny Hortensyi do rozbudzenia pana Konstantego, w którego sercu zawrzała nieprzezwyciężona zazdrość. P. Konstanty zaczął żonę śledzić i przekonał się, że Nina go zdradziła.

Sprawę więc pomiędzy dwoma przyjaciołmi miał rozstrzygnąć pojedynek, który zakończył się śmiercią obydwóch w oczach dojeżdżającej na koniu Niny. Na pogrzebie przeżębił się jej synek i umarł, a sama Nina wstąpiła do klasztoru panien Norbertanek w Krakowie.

We wszystkich trzech tych obrazkach uderza nas przedewszystkiem potężna niezwalczona miłość. Wszystkie bohaterki, które przesunęły się nam przed oczyma, kochały namiętnie, prawdziwie.

Jak Marysi, tak Niny, a nawet i tej nieszczęśliwej Loli, miłość jest jedna i taż sama; ani jeden

objaw psychyczny nie różni ich pomiędzy sobą. W sukni Loli mogłaby być taż sama Nina, a w Niny, Marysia. U prostaczki, jak też i u tej młodej dziewczyny, a nawet u kobiety miłość ta, wyjąwszy różnice wieku, jednakowo się rozwija.

Godność kobiety i zastosowanie się jej do swego losu, aż nadto przebija się w uczciwej Mili. Ona czuje dobrze, co to za święte uczucie — miłość, jak ono podnosi człowieka i uszlachetnia. A jednak jest coś, co zwycięża to uczucie i przykuwa kobietę myślącą uczuciową, bodajby do takiej mierności, jaką jest mąż jej p. Jakób, człowiek myślący tylko o swoim żołądku i o szkodach w gospodarstwie, bo po za tem świat inny dla niego wcale nie istnieje.

Pomimo więc, że psychologicznie, postacie powtarzają się u pani Rudnickiej, jednakże z wielkiem zajęciem mogą być czytane. Wreszcie jest tam wiele pięknych myśli, uczucia i prawdy. Szczególniej miłość maluje się tu silnie, co nadaje wie le świeżości, dosyć powszechnie opisanej i wyśpiewanej treści. Wreszcie uczciwa tendencya, która przebija się bądź to w Maryi, bądź w postaci samego pana Konstantego, zmusza nas do przyznania autorce talentu, talentu prawdziwie żywotnego. Wreszcie język czysty i pełen prostej malowniczości, uzupełnia ten sąd na korzyść autorki.

Pozostał nam jeszcze jeden obrazek; jest nim *Branka turecka*, osnuty na tle podań rodzinnych autorki.

Dzieje się to w roku 1689, a więc za króla Jana III-go, kiedy Tatarzy od czasu do czasu bandami nawiedzali Pokucie i Podole. Pan podkomorzy Pokutyński, miał trzy dorosłe córki: Joasię, Anusię i Zofię, które pewnej niedzieli wybrały się z matką do kościoła w Gwoźcu, a że wieści niosły iż Tatarzy plądrują ziemię, przybyli im towarzyszyć krewni ich, zarazem konkurenci starających się o rączki p. Joasi i Zosi, dwaj młodzi Jaksowie pan Józef i Jan, wraz ze swymi kozakami. Droga do kościoła zeszła spokojnie, ale z powrotem spotkano Tatarów, i pomimo mężnej obrony nie zdołano im się oprzeć. Pan Jan padł u stóp p. Zofii swojej narzeczonej, silnie raniony, a ją pochwycił Tatar z sobą. Anusia została zabitą.

Próżno pan Jan przyszedłszy do zdrowia, szukał przez sześć lat swojej narzeczonej. Stęskniony w nową wybierał się podróż, gdy wtem zatoczył się powóz i z niego wysiadła Zofia, ale już żona Sulima, którego kochała i przyrzekła mu, że powróci do niego.

Ten obrazek jest o wiele słabszy od poprzednich. Autorka starała się o urobienie historycznego języka... Zniknął koloryt, zniknęła plastyka, a uczucie... nie ożywiło tej pracy.

— *C* —

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Że też zawsze i wszędzie czegoś od Niemców uczyć się musimy. Jakiś Hübner z Berlina, w książce swej przeniósł Warszawę w okolice Petersburga *in der Umbegung von St. Petersburg*, a wzrost jej rozpoczyna się według niego dopiero od r. 1755, gdy została rezydencyą elektorów saskich!... Wszak prawda że są to tak nowe dane jeograficzno-historyczne, iż najlepszym ziemioznawcom i dziejopisarzom naszym, są najzupełniej nieznane?

Drugi nieznany dotąd światu fakt dziejowy, wygłosił profesor Jurgiewicz w rozprawie jaką czytał w Odessie, na posiedzeniu Towarzystwa historyczno-archeologicznego, a mianowicie „że Jagiełło był żydem i nazywał się Jankiel".

W ślad za mędrcami tymi podąża korrespondent warszawski do „Nowego Wremieni", który pisząc o ordynacyi hr. Zamojskich donosi że obejmuje 400 miast. Wielka szkoda że nie wymienił ich nazwy!...

*** W powiecie Węgrowskim (gub. Siedlecka) kilku obywateli ziemskich złożyło składkę wynoszącą 2,000 rs., przeznaczając sumę tę na zakładanie Gospód chrześciańskich w różnych miejscowościach powiatu. Chętnym do zakładania gospód a dającym dostateczne rękojmie moralności, udzielać będą zapomogi, jużto jako pożyczkę lub jako darowiznę, na urządzanie tych gospód, mających służyć za miejsce godziwej rozrywki, i w tym celu oprócz czytelni pism peryodycznych i książek odpowiednich dla pojęcia i oświecania ludu, będą także miéć miejsce wieczorynki tańcujące. Prócz wódki i araku, których trzymać nie będzie wolno, sprzedawać będą w gospodach piwo, wino, kawę, herbatę i t. p. Pożądanem byłoby aby przy gospodach tych otwierano także sklepy spożywcze, w których sprzedawanoby niezbędne wieśniaków artykuły; tym sposobem oduczyliby się powoli do udawania się do miast lub na jarmarki, dla sprawunku często zaledwie kilka groszy wynoszącego, co naraża na stratę czasu i pieniędzy, a co gorsza często zgubę dzieci, które pozostawione bez dozoru, stają się nieraz ofiarami strasznych wypadków.

*** W parafii Pustelnik, należącej do gminy Dembe-Wielkie, w powiecie Mińskim, gub. Warsz. niektórzy parafianie, rozumiejący korzyści płynące z oświaty, zwołali wszystkich gospodarzy ze wsi oraz parobków dworskich, dla naradzenia się nad założeniem szkoły, której niezbędną czuli potrzebę. Na zgromadzeniu obecni byli włościanie z dziesięciu wsi sąsiednich i znaczną większością głosów oświadczyli się za założeniem szkoły. W zgromadzeniu tem brało także udział kilku właścicieli większych majątków, którzy sprawę otwarcia szkoły goràco popierali, przyrzekli że swej strony pomoc materyalną i poparcie moralne. Budowa szkoły ma się rozpocząć na wiosnę.

*** Gdy doszła do Monachium wieść o strasznych wypadkach w kościele Święto-Krzyzkim, artyści polscy w Monachium, pragnąc także przyczynić się do pomnożenia funduszów na rzecz pozostałych rodzin, ułożyli album z własnoręcznych rysunków, obejmujące prace wszystkich rodaków naszych, od najznakomitszych do początkujących. Począwszy od Brand'ta, wszyscy złożyli w tem album daninę swego talentu. Pierwszą kartę zapełniają podpisy. Album ma być niezadługo przysłane do Warszawy; pewni jesteśmy że sprzedaż jego pokaźną zapewni sumkę.

*** Sławny niemiecki malarz religijny, Gabryel Max, którego obraz „Chrystus" był przedstawiony w Warszawie, wykończył obecnie i oddał na wystawę Monachijską nowy obraz p. n. „Spełniło się!" Przedstawia on Golgotę i Chrystusa na krzyżu w chwilę po skonaniu. Według zdania krytyków, ta postać Zbawiciela ma się zaliczać do najszczytniejszych i najtragiczniejszych pomysłów sztuki religijnej. Nader silne czyni wrażenie posępna scenarya obrazu. Na widnokrąg zatoniony w mistycznym zmroku, blade słońce słabe zaledwie rzuca promyki; efekt obrazu ma być porywającym. Szkoda tylko że artysta łączący powagę geniuszu z płochą rządzą wywoływania sensacyjnych wrażeń, u dołu obrazu zamieścił pięć par rąk, można się domyśléć, że są to ręce Matki Zbawiciela, Maryi Magdaleny, Ś-go Jana i dwóch osób w sędziwym wieku. Tajemnicze te ręce robią wrażenie niewidzialnego posiedzenia spirytystów, a wiadomo że Gabryel Max należy do ich szkoły.

*** W końcu r. z. przedstawiono w Wrocławiu wielki pięcio-aktowy dramat p. Wildenbrück, autora „Karlowingów", p. n. „Ojciec i syn". Znakomity ten utwór publiczność i krytyka przyjęły z jak największem uznaniem, na jakie bez zaprzeczenia zasługuje; podajemy krótką jego treść.

Wiejski nauczyciel, Walenty Bergman, wielkie pokładał nadzieje co do świetnej przyszłości starszego swego syna — aż tu rząd pruski zabrał mu go do wojska. Wybornie oddana jest rozpacz młodzieńca zniewolonego wyrzec się marzonego wesołego życia studentów uniwersytetu i szanowanych zawodów jakie po ukończeniu nauk otwierały się przed nim, a to aby pędzić w koszarach czcze i próżniacze życie. Nie mogąc go znieść ucieka z wojska i kryje się w domu ojca. Znaleziono go jednak wkrótce, odstawiono do pułku, i mimo najgorętszych błagań ojca, kazano go publicznie przepędzić przez rózgi. Nieszczęsny młodzieniec nie zdołał przeżyć hańby jaką kara ta go okryła. Ojciec, który patrzył na katusze syna, uczuł w sercu niepohamowaną żądzę pomszczenia jego śmierci; przysięga więc wieczną nienawiść i sędziom wydającym wyrok, i krajowi swemu, którego dzikie prawa tak straszną sprawiły mu boleść tak niepowetowanej nabawiły straty. Jest to prolog dramatu, któremu, niepodobna nie przyznać śmiałości i oryginalności.

Po bitwie pod Jena, Francuzi bez oporu zajęli wojskiem całe Prusy. Przyszli więc i pod mury Kystrynu, i jenerał Godin stanął w domu Bergmanna i tam założył główną swoją kwaterę. Otóż nadeszła chwila w której osierocony ojciec będzie mógł zemścić się na Prusakach za śmierć swego syna. Zmiarkowawszy to Francuzi, postanowili wyzyskać na swoją korzyść jego nienawiść do współziomków, powiadają mu więc, że książę Hohenzollern kapitulował, a właśnie na jego pomoc liczył garnizon Kystryna.

Trzeba, że komendantem Kystryna był wtedy właśnie pułkownik Ingersleben, kat starszego syna Bergmanna. I on także jest ojcem, a syn jego, młody oficer, w nocy opuścił Kystryn, aby z niebezpieczeństwem życia przedrzéć się do księcia Hohenzollern i błagać aby pośpieszył na pomoc twierdzy. Sztab francuzki opuścił już dom Bergmanna, młody oficer przybył do niego aby wypocząć nieco. Nie ukrywał przed rodakami celu swojej podróży, z czego korzystając Bergmann, wskazuje mu jako najbliższą i najbezpieczniejszą drogę tę właśnie, gdzie stali Francuzi, którzy też wzięli go do niewoli. Nie dość na tem, stary nauczyciel bierze z sobą drugiego syna, którego umiał natchnąć własną zemstą, idzie wraz z nim do twierdzy i zawiadamia komendanta o kapitulacyi księcia Hohenzollerna. Z rozpaczą w duszy, pułkownik Ingersleben decyduje się na poddanie twierdzy. Gdy już postanowienie to zostało wykonanem, stary nauczyciel chcąc dopełnić miary swej zemsty, wyznaje komendantowi że stał się ofiarą podstępu wojennego i poddał twierdzę pojedyńczemu pułkowi francuzkiemu, a nadto iż powszechnie twierdzą, że syn jego zostający w niewoli

francuzkiej, jest dezer'erem, który uciekł do wrogów, aby im ułatwić zajęcie Kystrynu. Nieszczęśliwy ojciec przekonywa się niebawem, iż rzeczywiście tak w opinii ogółu jak własnych swoich kolegów i żołnierzy, on i syn jego uchodzą za zdrajców, i rozpaczą miotany odbiera sobie życie.

Rozpoczyna się akt III-ci. Siedm lat minęło od tych tragicznych katastrof; inny duch zapanował w Niemczech — wszyscy myślą tylko o zruceniu obcego jarzma. Drugi syn Bergmanna, student uniwersytetu w Halli, wraca do kraju aby zobaczyć się z ojcem. Nie wie on tego, że oddany tam został za wzięte od Francuzów pieniądze, ale ci którzy wypłacili je ojcu, żądają teraz aby syn przez wdzięczność został ich szpiegiem. Scena wyjaśnień między ojcem a synem, odznacza się niezrównaną dramatycznością i niewysłowione sprawia wrażenie — nie ma dziś może na żadnej scenie sztuki mogącej się poszczycić podobną. Henryk Bergmann postanawia szukać sposobności wynagrodzenia krzywdy zrządzonej rodzinie Ingersleben. Otacza swoją opieką młodego Ferdynanda, który zdołał zbiedz z niewoli francuzkiej i towarzyszy mu do Berlina; a gdy tenże został tam stawiony przed sądem wojennym jako dezerter, dowodzi jego niewinności.

Ferdynand Ingersleben ma siostrę Adelajdę, którą Henryk Bergmann pokochał od pierwszego wejrzenia. Wdzięczność młodego oficera wyradza ścisłą przyjaźń między nim a synem wiejskiego nauczyciela; zostawszy dowódzcą batalionu ochotników, zabiera z sobą Henryka, i jak dwaj bracia walczą obok siebie. Obadwa zostają ranni w jednej bitwie; Henryk ciężko, Ferdynand lekko, i przenoszą ich do domu Bergmanna. Widok rannego syna i dowodów żywej przyjaźni i troskliwości jaką otacza go syn jego dawnego nieprzyjaciela, czuje że zemsta opuszcza jego serce, i przez łoże rannego syna, wyciąga rękę pojednania do syna tego, którego śmierci stał się sprawcą.

Podaliśmy jak najtreściwiej treść dramatu, odznaczającego się wielkiemi zaletami właściwemi p. Wildenbrück, a mianowicie: że akcya się nigdzie nie wlecze, osoby przedstawione tchną prawdą i życiem, a tło osnute jest na wznioślejszym temacie niż do znudzenia obrabiane we wszystkich dramatach wiarołomstwo małżeńskie.

*** Wydano w Niemczech nowy rodzaj kalendarza p. n. „Kalendarz Wagnera”. Wszystkie daty w nim zamieszczone odnoszą się wyłącznie do różnych faktów dotyczących twórcy *Niebelungen.* I tak: 12 stycznia 1882 r. próba nowej opery *Parsival*, nowego arcydzieła wielkiego mistrza; 17 stycznia, urodziny Małgorzaty, siostry Ryszarda Wagnera. Dalej zamiast oznaczenia czasu wschodu i zachodu słońca, wymieniono godzinę o której mistrz kładzie się i wstaje, i w podobny sposób zapełniony jest cały kalendarz, nie pomijając jakiejbądź czynności twórcy muzyki przyszłości. Czy twórca kalendarza był do tego stopnia naiwnym, iż sądził że on zaszczyt przyniesie Wagnerowi, czy chciał złośliwie zażartować sobie z niego?... Chyba to drugie.

*** Inżynier Carpentier w Paryżu wynalazł przyrząd zwany *melografem*, zdumiewający genialnością pomysłu. Jest to instrument przy którym zasiadłszy muzyk czy kompozytor, gra według woli całą sztukę lub kilka urywkowych myśli, poczem wstaje i zakręca trzy śrubki, a instrument powtarza wiernie co przed chwilą odegrał. Dodać trzeba iż przyrząd gra lepiej lub gorzej, stosownie, jak grał wykonawca; jest nadzwyczaj czuły, odtwarza dokładnie grę muzyka, któremu ślepo jest posłuszny, tak dalece że nawet fałszywe nuty wiernie powtarza. Na wystawie grywali-artyści na fortepianie, zwanym harmonium. Pięćdziesiąt ukrytych pod podłogą drutów, łączyło każdy klawisz harmonium z melografem, znajdującym się w odległości 5 lub 6 metrów. Obniżając się, każdy klawisz przepuszcza prąd elektryczny w drut jemu odpowiedni, i prąd ten porusza w melografie maleńkie dłótko, które przedziurawia papier, zniewolony rozwijać się stopniowo i jednostajnie, za pomocą zegarowego mechanizmu. Tym sposobem każda nuta zapisuje się na tym papierze, z właściwą sobie wartością tonu, za pomocą dłuższego lub krótszego otworu, jaki dłutko elektryczne wybija na walcu papierowym.

Gdy już muzyka została wykonaną i zapisaną w ten sposób, walec papieru obraca się w melografie w przeciwną stronę: za naciśnieniem właściwej śrubki papier się rozwija i przesuwa pod szczoteczką ze srebrnych włosków, którą tylko grubość papieru przedziela od metalicznej blaszki znajdującej się pod spodem. Jeśli przy rozwijaniu papieru powierzchnia tegoż przedstawia się gładką, nie tkniętą, wtedy szczoteczka nie może się dotknąć blaszki, jeżli zaś napotka otwór, zetknięcie się następuje. Otóż za każdem takiem zetknięciem, prąd elektryczny przechodzi po blaszce do połączonego z nią drutu, związanego z harmonium, i wówczas odzywa się w tymże odpowiednia nuta. Mechanizm powodujący poprzednio przedziurawienie papieru, teraz w odwrotnym kierunku wywołuje poruszenie właściwego klawisza, tak więc zapisana muzyka, posługuje wtedy do rozporządzenia prądem elektrycznym, sprowadzającym powtórzenie tej muzyki za pomocą dźwięków.

Tak opisał swój przyrząd p. Carpentier w sprawozdaniu do paryzkiej Akademii nauk; obecnie już funkcyonuje on bardzo dobrze — lecz jakże to wielką ma przed sobą przyszłość!...

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie balowe. Krótka suknia z moiré anique u dołu zdobna bufkami, koronką i plisowaniem. Draperya z crêpe de chine, z przodu bardzo wysoko zebrana w fałdy i spięta klamrą przy staniku. Berta i ogarnirowanie tuniki dane z szerokiej, pięknej koronki

Ubranie wizytowe. Stanik gładki z baskiną fałdowaną z tyłu i spódnica są z pluszu w pasy, zaś bufowanie przemarszczane i draperya są z satin merveilleux. Żabot z żółtawej koronki, kokardy aksamitne.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 12 Января 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 4, r. 1882.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

Armand zaczął nakoniec przychodzić do zdrowia, ale zaledwie je odzyskał, choroba jego ojca zaczynała czynić szybkie i przerażające postępy. Obłąkanie jego objawiające się przez wiele lat różnemi dziwactwami, nie zgadzającemi się ze zdrowym rozsądkiem, teraz zamieniło się w rodzaj ospałości z której nic nie mogło go wyrwać; nie mówił nic i nie poruszał się wcale. Doktor sądził że klimat południowych krajów może trochę przedłużyć to opłakane istnienie, i radził pani d'Arçay aby zawiozła męża do Nicei lub Mentony.

Zmuszało to Armanda do przerwania nauki prawa, w chwili gdy już miał zbierać jej owoce, zmuszało go nadewszystko rozłączyć się z Małgorzatą może na czas bardzo długi, ale nie cofnął się przed surowym obowiązkiem i odjechał. W przeddzień wyjazdu wieczorem udał się z Małgorzatą do kaplicy pałacowej, i tam klęcząc przed ołtarzem oświetlonym małą lampką, przyrzekli sobie wieczną miłość, przysięgli że kiedyś połączą się z sobą.

Nieobecność Armanda trwała trzy lata. Pan d'Arçay zakończył życie w Bordighera, i Armand nie miał nawet tej pociechy aby wzrok ojca zatrzymał się na nim w chwili zgonu. Odkąd dostał obłąkania, nie odzyskał ani na chwilę przytomności, nie poznawał tak żony jak syna.

Pani d'Arçay i Armand wracając do Mesnil przewieźli tam jego zwłoki. Rok przeszło nie mogli przezwyciężyć swej boleści, zwłaszcza biedny Armand który łudził się ciągle nadzieją, nie przypuszczając aby łagodne obłąkanie ojca mogło być nieuleczalnem.

Szukając w pracy i nauce rozrywki i zapomnienia, został adwokatem; jednak największą, najsłodszą pociechę czerpał w głębokiem przywiązaniu i współczuciu swej drogiej Małgorzaty.

Pani d'Arçay, która tyle lat życia poświęciła mężowi, teraz żyła tylko dla syna. Gdy kazała budować dla siebie pałacyk w Rennes, zasięgała rady Armanda i Małgorzaty co do rozkładu i umeblowania pokoi, jakby chcąc dać im przez to poznać że dla nich urządzała to nowe gniazdko.

Nakoniec odważyła się na krok stanowczy, którego Armand oczekiwał tak niecierpliwie, a którego nie dozwoliły jej dotąd uczynić smutne wypadki lat ostatnich. Pojechała do Albrays prosić hrabiego de Trémeillan o rękę jego córki dla Armanda. Wybierała się tam jednak z pewnym niepokojem; znała wyobrażenia hrabiego de Trémeillan, wiedziała że posuwał dumę rodową do ostatecznych granic, że był przejęty dumą i arystokratycznemi przesądami, nie mogła więc być pewną czy zechce oddać rękę córki adwokatowi, a czuła iż byłby to dla Armanda zawód tak bolesny, że złamałby całe jego życie.

Z bijącem sercem i drżącym głosem wymówiła uświęcone zwyczajem słowa, siedząc naprzeciwko tego starca z surowem obliczem i spojrzeniem, który zdawał się zawsze być zatopionym w jakiemś ponurem rozmyślaniu.

Zadziwiła się głęboko nie dostrzegłszy na tej zimnej twarzy najlżejszego wyrazu niezadowolnienia. Pan de Trémeillan wyprostował się tylko trochę na fotelu i rzekł z roztargnieniem i obojętnie:

— Tak, wiem o tem że się kochają. Dobrze. Ślub może sie odbyć kiedy pani zechce. Mój notaryusz powie pani jaki posag wyznaczam córce.

XI.

Hrabia de Trémeillan rzadko przyjmował u siebie. Nie dowierzał ludziom, czuł do nich nienawiść i najlepiej lubił żyć samotnie jak odludek. Niekiedy jednak zapraszał do siebie na obiad paru sąsiadów i proboszcza z Bonniéres, którego bardzo szanował.

Po obiedzie Armand odprowadził na stronę pana de Rigny, obecnego właściciela pałacu des Marnes, który nabył po tragicznej śmierci młodego wice-hrabiego de Mortrée. Chciał pomówić z nim o dawnym właścicielu pałacu, ale zaledwie wymówił jego nazwisko, pan de Rigny zmieszał się widocznie i ostrzegł go aby nie wymieniał nigdy tego nazwiska w obecności swego przyszłego teścia.

— Dla czego? zapytał Armand, który słyszał już o nienawiści istniejącej między panem de Trémeillan i wice-hrabią de Mortrée, ale dotąd nie pytał o jej powody.

— Chodźmy wypalić cygaro w ogrodzie, rzekł ostrożny pan de Rigny, pociągając za sobą Armanda, opowiem to panu w krótkości.

Gdy już byli sami, pan de Rigny uwiadomił Armanda, że wice-hrabia de Mortrée wyrzekł się zasad i wyobrażeń rodzinnych, idąc w tem, co prawda, za niegodnym przykładem ojca, który w czasie rewolucyi kupował dobra emigrantów, dla zaokrąglenia swych posiadłości. Wice-hrabia Marcelin posunął się dalej jeszcze; popisywał się z zasadami bezbożnemi; nie wierzył ani w Boga ani w szatana. Nakoniec, przyjął od rządu z 1830 r. urząd mera miasteczka Bourrée. Pan de Trémeillan spotkawszy się z nim w jednym z okolicznych pałaców, odwrócił się od niego z pogardą, i oświadczył mu nawet, że jeżeli jeszcze spotka się z nim kiedyś, rzuci mu w twarz rękawiczkę. Nazywał go zdrajcą, odstępcą, a nawet nadawał mu jeszcze obelżywsze nazwiska. Czuł do niego wstręt nieprzezwyciężony.

Tyle zaledwie miał czas powiedzieć hrabia de Rigny, gdy Małgorzata de Trémeillan zbliżyła się, wymawiając łagodnie narzeczonemu że o niej zapomina. Pan de Rigny odszedł, a młodzi narzeczeni przeszli do parku. Noc była prześliczna. Pierwsze promienie wschodzącego księżyca przedzierały się przez wielkie nieruchome drzewa, rozjaśniając białą parę jaką wieczorna rosa wytwarzała nad rozległemi murawami. Para ta przybierała przeróżne fantastyczne postacie; zawieszała się na wysokich krzewach, unosiła w powietrzu.

Armand i Małgorzata szli powoli pod wpływem poetycznego wrażenia ogarniającego duszę w tych uroczych chwilach gdy noc zaczyna roztaczać swe cienie, a wyłaniający księżyc rzuca na wszystko odblask swego łagodnego światła.

Jak tylko weszli do parku, Małgorzata rzekła do narzeczonego:

— Czy pamiętasz, Armandzie, jaka dziś przypada rocznica?

Podniósł głowę zadziwiony nieco, lecz po chwili namysłu odpowiedział—ściskając jej rękę.

— Ah! tak, przypominam sobie; dziś jest rocznica śmierci twej matki.

— Tak, Armandzie, i dla tego właśnie prosiłam abyś dziś przyjechał do nas. Nie chciałam w takim dniu być osamotnioną... tak kocham tę drogą matkę moją której wcale nie znałam.

I łzy potoczyły się po jej twarzy; pochyliła głowę i westchnęła smutnie.

Zwrócili się w wązką ocienioną uliczkę.

— Zanim poznałam ciebie, drogi mój Armandzie, często tu przychodziłam. Te drzewa często bywały świadkami moich łez i westchnień... Jakże boleśnie żałowałam że nie mam matki której mogłabym powierzać moje myśli i marzenia, lecz od owego spotkania w lesie, drogi mój Armandzie, zostałeś moim powiernikiem, i nie tak często odwiedzałam już miejsce, w którem spoczywa moja ukochana matka!

Weszli na malutką okrągłą łączkę otoczoną wysokiemi sosnami; przedzierające się przez ich gałęzie promienie księżyca, rzucały smugi białego światła na murawę i wznoszący się na środku łączki, skromny sarkofag z marmuru. Znajdujący się na nim napis uwiadamiał, że dnia 2 września 1850 roku, złożono tam zwłoki Anny Ludwiki Teresy, hrabiny de Trémeillan.

Zbliżali się do grobu wolno, z głębokiem wzruszeniem, trzymając się za ręce.

— Mamy połączyć się wkrótce, rzekła Małgorzata cichym i drżącym głosem; powinniśmy prosić naszej drogiej matki o błogosławieństwo.

Ukląknąwszy na stopniach pomnika, wsparli czoła na marmurowej płycie grobowca, i pozostali tak długo pogrążeni w głębokiem milczeniu, pod wpływem smętnych uczuć jakiemi ten grób samotny przepełniał ich dusze.

Małgorzata podniosła nakoniec głowę po długiej i gorącej modlitwie, i prawie jednocześnie zbladła powstając nagle z okrzykiem przerażenia.

Spostrzegła po drugiej stronie grobu jakąś czarną postać rzucającą na nią ponure spojrzenie, z pod kaptura przysłaniającego jej głowę i większą część twarzy.

Armand podniósł się także posłyszawszy krzyk narzeczonej, i chciał biedz do tego natrętnego widma, gdy Małgorzata ochłonąwszy z przykrego zadziwienia, poznała kto to jest, i zatrzymała go mówiąc:

— Nie zbliżaj się do niej, to Wilczyca!

Małgorzata i Armand oddalili się od grobu, i poszli drogą wiodącą do pałacu. Armand obejrzał się gdy byli przy końcu łączki, i zobaczył Wilczycę stojącą nieruchomie na temże samem miejscu.

Nie raz już spotkał tę kobietę zbierającą gałęzie w parku d'Albrays, i przypomniał sobie że Małgorzata wskazała mu ją kiedyś, mówiąc:

— Oto jedyna moja nieprzyjaciółka w tej całej okolicy. Pomimo dobrodziejstw któremi ją obsypywałam, w każdem słowie które przemówi do mnie, przebija nienawiść; ale zdaje mi się że to jest biedna istota na pół obłąkana.

Szli czas jakiś nie przerywając milczenia. Jakkolwiek byli wolni oboje od zabobonnych przesą-

dów, niespodziewane ukazanie się tej kobiety sprawiło na nich przykre wrażenie.

— Co o tej porze mogło tam sprowadzić Wilczycę? odezwał się Armand, jakby odpowiadał na myśli zajmujące w tej chwili jego towarzyszkę.

— Nie pierwszy to raz spotykam ją przy grobie mej matki, w rocznicę jej śmierci. Zdaje mi się że nie lubiła także mojej biednej matki, czego pojąć nie mogę, gdyż słyszałam że dawała memu ojcu dowody niezwykłego przywiązania i poświęcenia.

W kilka minut później wrócili do salonu.

Proboszcz grał znów w triktraka z panem de Rigny; hrabia de Trémeillan siedzący przy otwartem oknie, zapuścił w przestrzeń wzrok rozmarzony i nieruchomy.

Małgorzata usiadła do fortepianu. Pan de Rigny, któremu szczęście nie sprzyjało, wstał od kart, i Armand zajął jego miejsce naprzeciwko proboszcza z Bonniéres, który korzystał z wesołym śmiechem z roztargnienia, do którego doprowadzał Armanda czysty i dźwięczny głos Małgorzaty.

Armand spotykał się już od dawnego czasu z proboszczem u pana de Trémeillan, i podziwiał jego zawsze jednostajny i miły humor, jego pobłażliwość i prawdziwie chrześciańskie miłosierdzie.

Wszak, zapytał nie przerywając gry, ksiądz proboszcz już od dawna mieszka w Bonniéres?

— Od dwudziestu pięciu lat, kochany panie Armandzie, a ćwierć wieku to spory kawałek czasu.

— Ludność w tej parafii zdaje się pobożna i poczciwa.

— Bardzo.

— Jak to musi być przyjemnie dla pasterza gdy ma przykładne i posłuszne owieczki. Mówiłem nie dawno z synem jednego z naszych fermierów, który jest proboszczem w okolicach Paryża. Ciężkie ma tam życie; parafia jego składa się głównie z robotników w kopalniach kamienia, którzy nietylko dopuszczają się rozlicznych zdrożności, ale staczają z sobą często śmiertelne bójki na noże. Zapewniał mnie że się obawia wracać do siebie sam jeden wieczorem.

— O! takiej obawy nie doświadczałem nigdy, zawołał proboszcz wesoło, rzucając kości.

— Pewny jestem że przez cały czas pobytu księdza proboszcza w Bonniéres, ci poczciwi ludzie nie popełnili żadnego ważniejszego przestępstwa, nad jakąś mało znaczącą kradzież w lesie.

Proboszcz spojrzał na niego poważnie, a twarz jego przybrała wyraz jakiego Armand nigdy dotąd nie dostrzegł na niej.

— Mój drogi panie Armandzie, proboszcz najmniejszej i nawet najlepszej parafii, odbiera niekiedy wyznania od których włosy powstają na głowie. W najspokojniejszej i używającej najlepszej opinii mieścinie, zdarzają się niekiedy straszne zbrodnie. Proboszcz westchnął, przesunął ręką po czole, jakby chciał odegnać jakieś przykre wspomnienia, i odtąd grał już w milczeniu.

XII.

Upłynęło kilka dni. Armand nie wspominał Andrzejowi o tej sprawie, która czas jakiś tak mu ciężyła na sercu. Pomimo to Andrzej odgadywał co było głównym przedmiotem myśli przyjaciela; widział go parę razy czytającego z największą uwagą „Gazetę Sądową", lub przerzucającego pożółkłe papiery, które przyniósł od pana Loiseau, byłego pisarza trybunału. Widocznem było dla niego że Armand rozmyślał ciągle nad tą nieszczęsną sprawą Torquenié, że starał się wyrobić sobie o niej własne zdanie, wydobyć na jaw prawdę.

Pewnego dnia oznajmił matce i Andrzejowi że będzie zmuszony wyjechać na kilka dni.

— Muszę, rzekł, pojechać do Paryża; ślub mój ma się odbyć przy końcu miesiąca, potrzebuję więc porobić niektóre sprawunki.

Jednak skoro pozostał sam z Andrzejem, odkrył mu prawdziwy cel swej podróży. Jadę do Evreux, rzekł do niego; muszę wyszukać tego nieszczęsnego Torquenié, wybadać go starannie. Czem więcej zastanawiam się nad tą sprawą, tem mi się wydaje ciemniejszą. Nie mogę żyć dłużej w takiej niepewności... Gdyby ten człowiek był rzeczywiście niewinnym!...

Po raz pierwszy dopiero czynił to przypuszczenie; widać że od pewnego czasu w umyśle jego zrodziły się jakieś ważne wątpliwości.

W parę dni później, Armand przybył do Evreux, ale trzeba było jeszcze znaleźć człowieka którego szukał. Udał się w tym celu do policyi, i tam dowiedział się że przestępca uwolniony z galer nazwiskiem Torquenié, pracował czas jakiś w wielkiej fabryce guzików na przedmieściu; że był tam używany do przenoszenia ciężarów, lecz po kilku dniach musiał się oddalić, gdyż zawiadowca fabryki dowiedziawszy się o jego przeszłości, nie chciał trzymać go dłużej. Szukał następnie choćby najnędzniejszego zarobku, ale odtrącano go wszędzie. Komisarz policyi chcąc go uchronić od głodowej śmierci, upoważnił go do wynajęcia kataryniki i żebrania z nią po mieście; lecz inni ubodzy, zwłaszcza zajmujący miejsca przed katedrą, zaczęli się skarżyć że zbrodniarz wypuszczony z galer chciał im wydzierać nędzny kawałek chleba, który zawdzięczali miłosierdziu przechodzących, i wypędzali go przemocą z każdego miejsca które obrał sobie. Nawet ulicznicy już go znali, pokazywali sobie palcami i biegnąc za nim nadawali mu najobelżywsze nazwiska.

-- Doprawdy, dodał komisarz, policya nie powinnaby może przyznawać się do tego, skoro jest obowiązaną rozciągać dozór nad tym człowiekiem; ale jestem zmuszony wyznać że już od dwóch dni nie wiemy wcale co się z nim stało. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną że skoczył w rzekę, gdyż, jak mi mówiono, doszedł do strasznej nędzy... Co prawda, nie byłoby czego żałować, dodał na zakończenie, ci ludzie są dla nas największą plagą.

Armand wyszedł od komisarza policyi niespokojny i nie wiedząc co ma czynić dalej. Myśl, że ten nieszczęśliwy umiera z głodu i nędzy, że uległ, lub może lada chwila uledz strasznej pokusie samobójstwa, sprawiała mu niewysłowioną przykrość. To jednak czego się dowiedział, było dowodem że dłuższe poszukiwania jego byłyby bezskuteczne, i że skoro policya straciła ślad tego człowieka, on tem więcej nie potrafi go znaleźć w tem zupełnie mu nieznanem mieście. Nie pozostawało mu nic więcej jak wracać do Rennes.

Jednak nie bez pewnego żalu wyrzekł się nadziei znalezienia Jana Torquenié, i udał się wieczorem do kolei. Jakkolwiek nie był jeszcze przekonanym o niewinności tego człowieka, byłby bardzo zadowolnionym gdyby mógł go wybadać, spojrzeć w głąb' jego duszy, wyrobić sobie własne zdanie o tym strasznym i tajemniczym dramacie.

W takiem to usposobieniu umysłu Armand d'Argay szedł drogą prowadzącą do dworca kolei, znajdującego się za obrębem miasta. Poprzedzał go człowiek niosący jego rzeczy; ściemniło się już zupełnie.

Przechodzili właśnie koło muru otaczającego jakiś wielki ogród, gdy Armand ujrzał nagle jakby cień wysuwający się z ciemnego zakątka, a jednocześnie doszły do jego uszu słowa wypowiedziane słabym głosem:

— Panie, przez litość, daj mi na kawałek chleba.

Człowiek niosący rzeczy Armanda odwrócił się; latarnia stojąca nie daleko rzucała słabe światło na ten kawałek drogi, co mu pozwoliło poznać żebraka.

— A! niech pan nie wspomaga tego nędznika, zawołał zwracając się do Armanda. To zbrodniarz wypuszczony z galer. Któregoś dnia przyszedł do naszego hotelu „Pod Jeleniem" i pan przykazał nam surowo abyśmy nie dali mu nigdy nawet kawałka chleba.

Żebrak cofnął się jakby znaglony uczuciem wstydu i ukrył się w ciemnym zakątku służącym mu za schronienie, ale Armand zbliżył się do niego.

— Czy to prawda, zapytał, że byłeś na galerach? Nie odebrał żadnej odpowiedzi.

— Wszak nazywasz się Jan Torquenié? odezwał się znów Armand zniżonym głosem.

— Pan mnie zna! zawołał żebrak z wyrazem niewysłowionego zadziwienia, połączonego z przerażeniem.

— Tak, i szukałem cię właśnie. Chodź ze mną.

— Gdzie?

— Do miasta; chcę pomówić z tobą.

— Niestety! panie, nie mam siły pójść tak daleko.

— Widzę niedaleko ztąd jakiś szynk czy też garkuchnię, możemy tam wejść.

Poszedł naprzód, a żebrak postępował za nim powłócząc nogami opierając się ręką o mur; zdawał się bardzo osłabionym.

Garkuchnia którą Armand spostrzegł, była raczej nędznym i brudnym szynkiem, do którego uczęszczali głównie biedniejsi robotnicy, pracujący przy kolei, oraz okoliczni wieśniacy oczekujący na pociąg.

Kilku pijaków chrapało po kątach; stara kobieta robiła pończochę za kantorem z prostych desek.

Armand zapłacił człowiekowi niosącemu mały jego kufereczek, nie zdając się zwracać uwagi na zdumienie z jakiem spoglądał to na niego, to na jego towarzysza, a zwracając się następnie do starej szynkarki, zażądał aby go zaprowadziła do jakiegoś osobnego pokoju i nie wpuszczała tam nikogo.

Szynkarka wstała mrucząc, zapaliła świeczkę i wprowadziła Armanda do ciemnej komórki, w której znajdował się stół i dwie ławki przymocowane do podłogi.

Postawiła na stole butelkę wina i kieliszek, a następnie odeszła.

Armand skinął na Jana Torquenié aby usiadł naprzeciwko niego.

— Czy nie poznajesz mnie? zapytał stojąc przed nim.

Torquenié podniósł głowę, i Armand zadrżał mimowolnie spojrzawszy na tę twarz tak strasznie wynędzniałą, nawet w porównaniu z tem jak ją widział w Rennes, piętnaście dni temu.

Oczy podkrążała czerwona obwódka, warga dolna obwisła; pomarszczona skóra przybrała jakąś żółto-szarą cerę, oczy połyskiwały gorączkowym blaskiem.

Torquenié patrzył na młodego adwokata, ale nie zdawał się go widzieć.

— Jestem głodny, szepnął zaledwie dosłyszanym głosem.

Armand otworzył drzwi i kazał szynkarce aby przyniosła chleba. Nieszczęśliwy rzucił się na

chleb z chciwością dzikiego zwierzęcia, i przytrzymując go przy ustach obydwoma rękami, połykał prędko, nie podnosząc głowy.

Armand nalał mu kieliszek wina; wypił go z równą chciwością.

W kilka minut później, gdy Torquenié choć w części głód zaspokoił, pan d'Arçay powtórzył pytanie:

— Czy poznajesz mnie?

Torquenié wstrząsnął przecząco głową.

— Byłeś u mnie w Rennes, piętnaście dni temu; wzywałeś mej pomocy utrzymując że cię skazano niesłusznie, że...

Torquenié odsunął się od niego i zawołał rzucając na niego ponure spojrzenie:

— A! jesteś pan synem sędziego!

— Słuchaj, rzekł Armand, chcę zapomnieć co zaszło między nami, chcę zapomnieć że znieważyłeś człowieka którego pamięć jest dla mnie drogą i świętą... Byłeś nieszczęśliwym, a nieszczęśliwi zasługują na pobłażanie... Jeźli nawet jesteś występnym, to odpokutowałeś ciężko za swą podwójną zbrodnię.

— Jestem niewinnym! zawołał Torquenié tym przejmującym tonem i z tą dziką energią z którą zawsze powtarzał to zapewnienie.

— Trzeba znaleźć na to dowody.

— Tak, znajdę je, muszę znaleźć. Odkąd tu jestem, odkąd muszę znosić najstraszniejszą nędzę i wszelkiego rodzaju zniewagi, nie raz już miałem ochotę zakończyć tak okropne życie... ale zawsze powstrzymywała mnie ta myśl że jest moim obowiązkiem starać się o to aby uznano moją niewinność, abym mógł śmiało podnieść czoło, stać się znów człowiekiem... O! co ja tu przecierpiałem!!!

Wsparł głowę na rękach i siedział tak czas jakiś.

— Chciałem pracować i zebrać pieniądze na opłacenie adwokata... wszędzie mnie odepchnięto, znieważano... Od trzech dni zjadłem teraz pierwszy kawałek chleba. Tak, od trzech dni krążę koło miasta jak dzikie zwierzę, nie śmiejąc się zbliżyć do ludzi... Co czynić, mój Boże! abym mógł dowieść że sędziowie się omylili? Gdy wtenczas wyszedłem od pana zrozpaczony, udałem się do innego adwokata; lecz gdy mu powiedziałem po co przychodzę, zapytał czy mam pieniądze... Miałem zaledwie dziesięć su! A! gdyby pan Rousseau żył jeszcze! On mnie znał... wiedział że jestem ofiarą strasznej pomyłki, byłby mi pośpieszył na pomoc... O! było to zacne i szlachetne serce!

— Więc twój dawny obrońca już nie żyje?

— Tak sądzę. Wkrótce po mojem przybyciu na galery, pisałem do niego i otrzymałem odpowiedź; następnie pisywaliśmy do siebie blizko przez trzy lata. Zachęcał mnie zawsze abym nie tracił nadziei, donosił że o ile mu się zdaje, trafił na ślad prawdziwego zbrodniarza, że mnie nie opuści i uczyni wszystko co będzie w jego mocy, aby mnie uwolnić i udowodnić moją niewinność. Potem przez kilkanaście miesięcy nie odebrałem żadnego listu, pomimo że pisywałem do niego ciągle. Przyszło mi wtenczas na myśl że musiał umrzeć, bo inaczej nie zapomniałby o mnie, ale w kilka lat dopiero napisałem do znajomego który mieszkał w Rennes, błagając go aby mi doniósł co się stało z panem Rousseau. Odpowiedział mi że nie wiedziano w mieście co się z nim stało. Straciłem wtenczas ostatnią iskierkę nadziei, zrozumiałem że jestem już sam jeden na świecie, i czułem się nieszczęśliwszym jeszcze jak przed tem...

Westchnął i spuścił głowę z wyrazem ciężkiego przygnębienia.

Armand d'Arçay spojrzał na niego bystro. Zdawało się że zebrał całą swą odwagę i powziął jakieś postanowienie które kosztowało go wiele.

— Jeżeli jesteś rzeczywiście niewinnym, rzekł wolno i zniżonym głosem, pochylając się do Jana Torquenié, będę dla ciebie tem, czem byłby ten życzliwy ci obrońca o którym wspominasz. Przyrzekam ci że uczynię wszystko co będzie w mej mocy abyś uzyskał sprawiedliwość. Użyję wszystkich moich zdolności i wpływów, byle wyrwać cię z nędzy i zetrzeć z ciebie niezasłużone piętno hańby. ale od dziś ja będę twoim sądzią, ja sam przeprowadzę śledztwo, wysłucham żyjących świadków, i w takim tylko razie zażądam twej rehabilitacyi, gdy nie będę mógł powątpiewać o twej niewinności.

Blada i znękana twarz byłego galernika rozjaśniała się stopniowo.

— Jeźli pan uczynisz to wszystko, będę uratowanym! zawołał nakoniec z wybuchem radości. Ah! panie, dodał, pomyśl ile wycierpiałem, pomyśl o srogości sędziego który mnie badał, i przebacz mi moje uniesienie, przebacz że mu złorzeczyłem!... Jesteś dobrym, czuję to, widzę... Dałeś mi chleba, kiedy już prawie umierałem z głodu, wróciłeś mi trochę nadziei... O! chcę, pragnę żyć teraz!... Co mam czynić, panie? Mów, badaj mnie; pamiętam wszystko jakby się to działo wczoraj... Wszak przez dwadzieścia lat myślałem tylko o tem, i najdrobniejsze szczegóły tych strasznych wypadków wyryły się na zawsze w mej pamięci.

— Jesteś zbyt osłabionym abym mógł przedłużać tę rozmowę, a zresztą ja sam muszę, przed rozpoczęciem badania, namyślić się i przypomnieć sobie całą tę sprawę. Postaram się aby cię przeniesiono do Rennes; tym sposobem będziesz gotów na każde moje zawołanie, co może mi ułatwić poszukiwania. Tymczasem weź te pieniądze, dodał wyjmując woreczek z kieszeni, poszukaj sobie mieszkania i przyślij mi swój adres. Nazywam się Armand d'Arçay, a w Rennes znają mnie wszyscy. Skoro tylko otrzymam potrzebne upoważnienie, dam ci o tem znać i przybędziesz do Bretanii. Nie dziękuj mi, dodał młody adwokat powstając; jeźli jesteś niewinnym, spełnię tylko mój obowiązek; jeżeli zaś jesteś zbrodniarzem i oszustem, pomszczę pamięć mojego ojca, odpłacając ci za złe dobrem.

Armand d'Arçay położył pieniądze na stole kończąc te słowa, i wyszedł z szynku, pozostawiając Jana Torquenié prawie odurzonego tak niespodziewanem szczęściem.

XII.

Zaraz po przybyciu do Rennes, Armand poszedł do sędziego Dubourg, dawnego przyjaciela ojca, i zapytał jakie trzeba spełnić formalności dla uzyskania zmiany miejsca pobytu, i przeniesienia pod dozór policyi w Rennes człowieka uwolnionego z galer.

— Czy panu się zdaje że za mało mamy hultajów w mieście? zapytał trochę opryskliwie sędzia.

— Jestem pewny że ten człowiek zachowa się dobrze i przykładnie, odpowiedział Armand.

— Czy tak usilnie życzysz pan sobie tego?

— Tak, kochany panie Dubourg.

Sędzia usiadł przy biórku i wziął pióro.

— Jakże się nazywa ten człowiek? zapytał.

— Jan Torquenié.

Pan Dubourg myślał czas jakiś, a potem rzekł:

Była to jedna z ostatnich spraw, w których przyjaciel mój, d'Arçay, przeprowadzał śledztwo... i przeprowadził je prawdziwie po mistrzowsku. Dziwna to rzecz aby syn opiekował się człowiekiem który za sprawą jego ojca został skazanym na galery.

— Torquenié był leśniczym hrabiego de Trémeillan, a pan wie że mam wkrótce zaślubić pannę de Trémeillan.

Sędzia zdawał się poprzestawać na tem usprawiedliwieniu.

— Zresztą, rzekł, ten człowiek nie może być niebezpiecznym. Jest to zbrodniarz z miłości, a są to zwykle szaleńcy śmieszni ale nieszkodliwi. Należałoby życzyć sobie aby rząd nie obdarzał nas niebezpieczniejszymi; lecz, dodał z westchnieniem, cesarz podobny w tem do ciebie, kochany panie Armandzie, jest zbyt dobrym.

Armand nie zapytał pana Dubourg, do kogo zmierzała ta przymówka, ani też co mógł mieć za styczność cesarz z przeniesieniem do Rennes byłego galernika. Podziękował panu Dubourg, pożegnał go, i miał już wyjść, gdy zatrzymał się nagle jakby przypomniał coś sobie.

— Ale, kochany panie sędzio, rzekł wracając do biórka, może pan, który znasz tak dobrze wszystkie szczegóły sprawy Torquenié, mógłbyś mi powiedzieć co się stało z obrońcą obwinionego?

— Z kim! z panem Rousseau? zapytał sędzia podnosząc z żywością głowę. A! nie przypuszczam abyś chciał się opiekować i nim także, dodał pan Dubourg zaczerwieniony, z błyszczącemi oburzeniem oczyma.

— Słyszałem że umarł.

— On!... Alboż tacy ludzie umierają? zawołał z gniewem pan Dubourg. Nie, nie umarł!... I mogę dodać jeszcze, że, dla pocieszenia litościwych serc, które jak ty, panie Armandzie, opiekują się zbrodniarzami, udarowano nas napowrót jego obecnością.

Armand d'Arçay spojrzał na pana Dubourg z takiem zadziwieniem, że ten zrozumiał że potrzebuje mu dać pewne objaśnienia.

— Rousseau rzekł był człowiekiem niebezpiecznym; wysłaliśmy go do Afryki w 1852 r.; ale, rzekł, cesarz uznał za właściwe ułaskawić go, i wrócił do Rennes parę tygodni temu. Jeźli życzysz sobie odwiedzić go, to mieszka w domu pana Loiseau, przy ulicy Canettes.

W kilka minut potem, Armand wchodził do ciemnego i wązkiego korytarza, w którym przez uchylone drzwi dawało się słyszeć ogłuszające świergotanie ptaków.

Stara jakaś kobieta wyszła z ciemnej komórki zastępującej kuchnię, zapytując opryskliwie:

— Czego pan sobie życzy?

— Czy tu mieszka pan Rousseau? zapytał Armand.

— Tak, na trzeciem piętrze, na lewo.

Armand wszedł po wychodzonych i ciemnych schodach na trzecie piętro, gdzie przez okno w dachu wchodziło trochę światła. Po lewej stronie znajdowały się nizkie drzwi, do których zapukał.

Nie odbierając żadnej odpowiedzi, zapukał powtórnie głośniej, i wtenczas dopiero uchylono drzwi wolno i ostrożnie.

Starzec otulony wyszarzanym szlafrokiem, niezdolnym ukryć strasznej jego chudości, trzymał jedną rękę na klamce, w drugiej cęgi do poprawiania ognia.

— Pan Rousseau? zapytał Armand.

— Tak... to ja... właśnie, odpowiedział starzec cichym i przerywanym głosem.

Ale gdy stał ciągle nieruchomy za uchylonemi trochę drzwiami, spoglądając podejrzliwie na obce.

go mu zupełnie człowieka, który zdawał się chcieć wejść do niego, Armand odezwał się:

— Panie Rousseau, proszę pana o chwilkę rozmowy; idzie tu o spełnienie dobrego uczynku.

Drzwi otworzyły się i starzec wpuścił Armanda. Weszli przez wązki korytarzyk do pokoju umeblowanego prawie nędznie, w którym podłoga zasłana była zakurzonemi książkami i papierami. Stary uszkodzony fotel stał przy dosyć sutym ogniu.

Pan Rousseau usiadł na tym fotelu, poprawił ogień i zaczął rozgrzewać ręce przy płomieniach.

Armand przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niego Sądził że to sen tylko; zdawało mu się niepodobieństwem aby ten wątły i schorowany staruszek mógł być tym energicznym i pełnym zapału człowiekiem, którego zdolności i pełną namiętnego ognia wymowę tak niegdyś podziwiano.

Długie siwiejące włosy spadały na wypukłe i poorane zmarszczkami czoło. Oczy były przygasłe, usta bez wyrazu, jakiś bolesny dreszcz wstrząsał jego ciałem.

— Panie, rzekł Armand, gdy otrząsnąwszy się nakoniec z pierwszego wrażenia, mógł rozpocząć rozmowę, może pan nazwie mnie natrętnym skoro powiem z jakiem żądaniem przychodzę do pana.

Zatrzymał się na chwilę, a widząc że pan Rousseau siedzi ciągle nieruchomy i pochylony do ognia, jakby go nie słyszał wcale, dodał głośniej:

— Był pan kiedyś adwokatem w Rennes, i w tym charakterze broniłeś pan pewnego człowieka, którego jednak wymowa twoja nie zdołała uchronić od galer. Mówię tu o Janie Torquenié.

Starzec zadrżał posłyszawszy to nazwisko, i potarł czoło drżącą ręką.

— Tak, rzeczywiście.. przypominam sobie... Dlaczego mi pan zadaje to pytanie?

Armand doznał bolesnego wrażenia; zniedołężnienie umysłowe tego nieszczęśliwego zdawało mu się równie wielkiem jak zniedołężnienie fizyczne. Słowa z trudnością wysuwały się z ust jego, jąkał się i zatrzymywał co chwila.

— Człowiek ten powrócił z galer; utrzymuje że jest niewinnym.

— Bo tak jest rzeczywiście, sędziowie postąpili niegodziwie, haniebnie... zawołał stary adwokat, a w przygasłych jego oczach zabłysła iskierka dawnego ognia.

Jakkolwiek tak energiczne i stanowcze twierdzenie było rażącem dla Armanda, nie dał tego poznać niczem.

— Utrzymuje że stał się ofiarą pomyłki popełnionej przez sędziów, i chce wystąpić o rehabilitacyę.

— Ma słuszność, ma zupełną słuszność, rzekł starzec.

Ożywiając się, mówił jeszcze niewyraźniej, zacinał się na każdem słowie. Boleśnie było patrzeć gdy się wysilał aby wysłowić myśl swoją, gdy usta jego dawniej tak wymowne, wykrzywiały się konwulsyjnie zanim wymówił jakiś wyraz.

— Tak, ma słuszność... Nie powinien umrzeć z piętnem hańby na czole... Niech mu wrócą wydarty honor... A! gdybym tylko mógł... gdyby nie to że i mnie zabili także!

Poruszył się rozpaczliwie, jakieś hrapliwe świśnięcie wydobyło się z jego gardła i upadł ciężko na fotel z którego chciał powstać.

— Ten człowiek powierzył mi swą sprawę, mówił dalej Armand. Podjąłem się jego obrony, ale pod tym jedynie warunkiem abym sam mógł być przekonanym o jego niewinności.

— Dobrze... tak być powinno... nie trzeba nigdy bronić niesprawiedliwej sprawy... rzekł starzec podnosząc pochyloną zwykle głowę.

— Sądziłem że będę mógł otrzymać od pana jakieś pewniejsze wskazówki.

— Więcej niż wskazówki... dostarczę panu dowody, rzekł pan Rousseau podnosząc wzrok na Armanda.

— Muszę powiedzieć panu wszystko, odezwał się znów Armand. Chcę aby pan wiedział kto jestem. Nazywam się d'Arçay, jestem synem sędziego który prowadził śledztwo w sprawie Jana Torquenié.

Rousseau spojrzał na Armanda bez najmniejszego zadziwienia.

— Dobra to myśl, rzekł. Spełniasz pan swój obowiązek... Ojciec pana dręczył strasznie tego człowieka... on to głównie ściągnął na niego hańbiący wyrok... przez niego ten nieszczęśliwy spędził na galerach dwadzieścia lat życia.. Nie mogłem z początku zrozumieć, czemu występuje z taką zajadłością przeciwko biednemu Torquenié... Przyznaję że rzuciłem na niego ciężkie oskarżenie... postępowanie jego wydawało mi się niecnem... Później poznałem prawdziwą tego przyczynę... Ojciec pana dostał widocznego obłąkania we dwa lata po tej sprawie... Przekonałem się że gdy przeprowadzał co do niej śledztwo, nie posiadał już zupełnej przytomności umysłu... Torquenié stał się ofiarą obłąkanego... i nikczemnego zbrodniarza.

Pan Rousseau zatrzymał się wysilony tak długiem mówieniem; Armand milczał także przerażony tem co słyszał. Stary adwokat uważał za rzecz niewątpliwą to co dla niego było tylko bolesnem przypuszczeniem. Oświadczał stanowczo że pan d'Arçay prowadził w tej sprawie śledztwo z zaciętością maniaka, z bezwłasnowolnością obłąkanego.

— Jeżli, odezwał się nakoniec, dowody o których pan mówi, są rzeczywiście przekonywające, to przyrzekam panu że będę bronić sprawy Jana Torquenie, jeżeli nie z równą zdolnością jakąby pan mógł okazać, to przynajmniej równie gorliwie.

— Niech pan przyjdzie do mnie pojutrze; przeglądam właśnie moje papiery, rzekł pan Rousseau wskazując na pliki akt rozrzuconych po podłodze. Wszystko to potrzebuje uporządkowania.. po tak długiej nieobecności.

Armand pożegnał starego adwokata, przyrzekając mu że przyjdzie w oznaczonym dniu, po południu.

XIII.

Ślub Armanda miał odbyć się wkrótce, jednak pomimo radości przepełniającej z tego powodu jego serce, nie zapomniał o nieszczęśliwym któremu przyrzekł swą pomoc. Uwiadomił Andrzeja Gérard o skutku swej podróży do Evreux, i młody malarz powinszował z zapałem przyjacielowi tak szlachetnego przedsięwzięcia.

Andrzeja powoływały do Paryża zwykłe jego zajęcia, ale odjeżdżając przyrzekł Armandowi że będzie na jego ślubie.

— Mam także nadzieję, dodał, że wkrótce usłyszę coś o twem pierwszem wystąpieniu w sprawie Torquenié... Jakiż to dla ciebie szczęśliwy zbieg okoliczności, że rozpoczniesz swój zawód w procesie który wywoła tyle wrzawy! Będzie to jakby głos dzwonu alarmowego, który dosięgnie aż do granic Francyi.

Armand poświęcił Małgorzacie cały dzień następny. Pojechał do Albrays, i przepędzili razem w parku cały ten śliczny dzień letni, przypominając sobie przeszłość i marząc o przyszłości.

Gdy Małgorzata zmęczyła się chodząc po cienistych ulicach parku, siadali na kamiennej, porosłej mchem ławeczce, i rozmawiali długo, poufnie, zapominając że czas szybko bieży.

— O! jakże będę szczęśliwą żyjąc obok ciebie, mówiła Małgorzata. Jakaż to zmiana w mojem życiu!

— Więc nie byłaś dotąd szczęśliwą, ukochana moja?

— O! byłam, gdy ty byłeś przy mnie, odpowiedziała zwracając na niego pełne słodyczy i szczerości spojrzenie. Przez resztę czasu starałam się odurzyć, jeździłam konno, biegałam po parku z furyą w ręku, jak chłopiec.. Ale gdy następnie trzeba było wracać do pałacu...

Nie dokończyła i zadrżała lekko.

— Tak, pojmuję to, odpowiedział Armand który zdawał się odgadywać myśl sprowadzającą chmurkę smutku na czoło jego narzeczonej.

— A! gdybym nie spotkała ciebie, rzekła składając ręce... Gdyby mnie nie podtrzymywało twoje przywiązanie i myśl że kiedyś zajdzie szczęśliwa zmiana w mojem życiu! Gdybyś nie panował tak wszechwładnie w mojem sercu!...

Po chwili milczenia mówiła dalej:

— Czy pojmujesz co musi cierpieć istota z takim jak mój charakterem, chciwa czułości i przywiązania, potrzebująca choć trochę wesołości, pragnąca podzielać z kimś swe myśli i wrażenia, a spotykająca zawsze przed sobą tylko tę twarz posępną i surową?

Mówiąc to wskazała ręką okno pałacu, w którem pan de Trémeillan siedział nieruchomy jak posąg.

— Nigdy jednego słówka czulszego, nigdy najmniejszej pieszczoty... jakaś zimna grzeczność jakby dla zupełnie obcej osoby. O! tego nie można nazwać życiem! Nie kocha mnie wcale!.. a ja także, dodała ze smutkiem, nie miałam do niego nigdy tego gorącego przywiązania jakie rodzice wzbudzają w dzieciach, jakie ja sama czułabym dla mej matki, gdyby dotąd żyła.

— Przestań już myśleć o tem, droga moja Małgorzato, rzekł Armand ujmując obie jej ręce; nie zapominaj że ojciec twój okazał się prawdziwie dobrym w tym dniu, w którym znając mnie tak mało, oddał mi twoją rękę. Posiada charakter skryty i surowy jak zwykle ludzie opanowani jakąś jedną stałą myślą. Namiętności polityczne przepaliły jego serce, wysuszyły w niem wszelkie tkliwsze uczucia, widzisz jednak ze umiał okazać się dobrym ojcem gdy szło o twoje szczęście. Wyznaję że nie śmiałem prawie spodziewać się tak pomyślnej odpowiedzi, w tym dniu gdy poważyłem się prosić o twą rękę; znałem jego arystokratyczne przesądy, a szlachectwo mego rodu nie sięga wojen krzyżowych, i mój majątek nie dorównywa twemu. Nie jestże to najlepszym dowodem że go musiało wzruszyć nasze szczere i wzajemne uczucie, i że dla twego szczęścia, nie wahał się odstąpić od niektórych swych zasad?

— Masz słuszność, mój Armandzie; mówmy lepiej o czem innem, odpowiedziała Małgorzata.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 4.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z vêtement.

Do sukni spacerowej z ciepłego wełnianego, ciemnopopielatego materyału w drobne prążki, vêtement otwarte od dołu z przodu, przykrojone było formą princesse, z dodaniem od baskiny pleców na fałdy przy brycie tylnym, trochę w bufę podpiętym. Do oszycia vêtement służyła frendzla suta szeroka, czarna sznelowa. Krótka spódnica ozdobiona była trzema skośnemi, 10 cent. szerokiemi, czarnemi aksamitnemi plisami, a u dołu oszyta 25 cent. szeroką w kontrafałdy ułożoną falbaną, zakończoną także plisą aksamitną. Kapelusz czarny aksamitny.

N. 2. Ubranie ze stanikiem z długą baskiną.

Model bardzo ładnego spacerowego ubrania, odrobiony był z ciemno-zielonego sukna i pluszu. Krótka pluszowa spódniczka oszyta była 11 cent. szeroką sukienną falbaną, ułożoną w kontrafałdy, dopełnioną u dołu i przy nagłówku wązkiemi atłasowemi falbaneczkami. Draperyą na spódnicy upina się z dwóch brytów sukna, z których przedni 115 cent. szeroki, z jednego boku jest do 85 c. długości przyfałdowany, z drugiej krótko aż pod baskinę podpięty i ozdobiony sznurem jedwabnym z kwastami. Tylną draperyę układa się z długiego prostego bryta. Do przodów i boczków dodaje się baskinę pluszową 32 c. długą, z przodu ranwersami sukiennemi ozdobioną, plecy kraje się z sukna razem z baskiną. Przy rękawach 10 c. szerokie mankiety pluszowe z boku zaokrąglone. Kapotka pluszowa ubrana piórami. Szeroki kołnierz i mufka z futra wydry.

N. 3—4. Dwa wachlarze.

Ryc. 3 przedstawia wachlarz w złoconej oprawie, pokryty atlasem vieil-or, haftowanym w maszynie jedwabiem takiegoż koloru i złotem, oszyty koronką złotą, zawieszony na wązkiej atłasowej wstążce związanej na zręczną kokardę. Przy ryc. 4 czarna drewniana oprawa, suto ozdobiona jest malowaniem złotem i farbami w matowych kolorach. Na czarnem atłasowem pokryciu, haftowane są kolorowym jedwabiem bukieciki i arabeski złotem. Do zawieszania wachlarza służy łańcuszek ze złoconych kulek z kwastami i agrafką do zakładania za pasek.

N. 5—6 i ryc. 19 w N. 5. Poduszeczki do szpilek.

N. 5 i 19. Poduszeczka sześcienna.

Składa się z sześciu równych ścianek trzymających $4\frac{1}{2}$ cent. w kwadrat, pokrytych haftem robionym na kanwie cienką włóczką i pelą, ściegiem krzyżowym i gobelinowym, podług deseniu podanego w N. 5 na ryc. 19. Tło wszędzie zarabia się kolorem białym, ściegiem gobelinowym, po brzegach rząd krzyżyków czarnych, w rogach jeden czarny ścieg smyrneński. W środkowym deseniu można zmieniać kolory peli i włóczek, zważając tylko żeby dwa przeciwległe pola były jednakowe. Pod kanwę daje się cienką tekturę, następnie pięć ścianek zeszywa się z lewej strony, napełnia poduszeczkę otrębami, ostatnią ściankę przyszyć niewidocznemi ściegami z wierzchu, a na wszystkich szwach wyszyć rząd krzyżyków jedwabiem żółtym. Na rogach dać pompony z czarnej włóczki i żółtego jedwabiu.

N. 6. Poduszeczka w kształcie kepi.

Zrobiona z czarnego sukna z daszkiem i rzemykiem z ceratki. Klamerka i sztyfciki bronzowe; kokarda wyszyta złotym bajorkiem na czarnym aksamicie. W środek dać poduszeczkę wysłaną otrębami.

N. 7—16. Rozmaite serwetki.

Haft krzyżowy, pleciony i ścieg pojedyńczy. Wielki dobór rozmaitych odpowiednich deseni, znajduje się w Tygodniku Mód z roku przeszłego.

N. 7. Serwetka na mały stoliczek.

Trzymająca 70 cent. w kwadrat, robiona była na białem dość grubem niemaglowanem płótnie, jedwabiem purpurowym dobrym do prania, ściegiem plecionym. W szlaku deseń pozostaje biały, a tło jest ponsowo zarobione; środkowy deseń wyszyty ponsowo na tle płóciennem. Frendzla siepana w płótnie.

N. 8. Serwetka podłużna wyszyta ściegiem krzyżowym perskim.

Serwetka mająca 60 cent. długości a 42 szerokości, robiona była na płótnie żółtawem, bawełną dwunitkową do haftu, w trzech cieniach bronzowych, z których najjaśniejszy służył do kwiatów, ciemniejszy do liści, a najciemniejszy do roboty gałązek.

N. 9 i 16. Serwetka wyszyta ściegiem krzyżowym.

Serwetka trzymająca 50 cent. długości a 38 szerokości, robiona była na cienkiem płótnie białem, bawełną ponsową i niebieską. Deseń szlaku dajemy na ryc. 16, a deseń środkowy dobrać z pomiędzy licznych deseni dawanych w roku przeszłym na arkuszach z krojami.



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z vêtement. N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną.

N. 10. Serwetka na półeczkę. Haft krzyżowy i ścieg pojedyńczy.

Serwetka mająca 50 cent. długości a 40 szerokości, robiona była na płótnie żółtawem, ściegiem pojedyńczym na dwie strony i ściegiem krzyżowym, w pasy poprzeczne $3\frac{1}{2}$ cent. szerokie, dawane w odstępie 10 cent. naprzemian kolorem ponsowym i niebieskim. Na modelu wyszyte były na pasach w odstępie 6 nitek, małe 15 ściegów wysokie zwierzątka, mające po brzegach szlaczki krzyżowe, 3 krzyżyki szerokie.

N. 11—12. Serweta na stół z deseniem drukowanym do haftu.

Ryc. 11 przedstawia serwetę, na której drukowany deseń niezmiernie ułatwia robotę, usuwając żmudne liczenie nitek lub podkładanie kanwy. Na ryc. 12 dajemy próbkę szlaczku wązkiego, na ktorym w części deseń jest już pokryty krzyżykami, a w części tylko drukowany na serwetowym materyale, w którym liczenie nitek jest niemożliwe. W Berlinie wszelkie rodzaje deseni do ściegu krzyżowego, plecionego lub pojedyńczego, pani Essen na żądanie drukuje wprost na materyale.

N. 13—15. Serweta z płótna grubego domowej roboty.

Haftowana w pasy ściegiem krzyżowym i pojedyńczym, bawełną turecką w kolorze ponsowym, niebieskim i jasnoorzechowym. Na modelu między środkowemi pasami wyszyte były przysłowia i zdania, co w Niemczech jest w użyciu

N. 18—19 i ryc. 34 w N-rze 5. Fartuszek włoski ozdobiony haftem krzyżykowym i kratkami wyciąganemi w płótnie.

Fartuszek włoski płócienny, mający 50 cent. szerokości, zdobi pas kratki ażurowej, 15 cent. szeroki, po brzegach zakończony szlakami haftu krzyżowego, robionego prawdziwym ljońskim jedwabiem ponsowym, nie puszczającym w praniu, którego deseń dajemy na ryc. 19. Nad szlakiem górnym i na wywinięciu fartuszka, wyszyte są jeszcze skośne gałązki. Powiększoną próbkę kratki ażurowej, dla łatwiejszego zrozumienia roboty wiązanej nicią kolorową, damy w N. 5 na ryc. 34. Szeroka frendzla macramé zdobi brzeg dolny i wyłożenie.

N. 21. Krawatka w kwiaty fabrycznie wyrobione.

Nowość bieżącej chwili stanowią krawatki z bardzo szerokiej wstążki, przerabianej w różno-kolorowe kwiaty, naśladujące haft płaski. Model krawatki miał 172 cent. długości a $16\frac{1}{2}$ szerokości; tło było w dwóch kolorach: oliwkowym i ponsowym do cieniu, kwiaty blado-różowe z domieszaniem złota, a liście cieniowane zielone. Frendzla dorobiona fabrycznie.

N. 22. Lambrekina do półeczek, koszyków i t. p. Haft kolorowy.

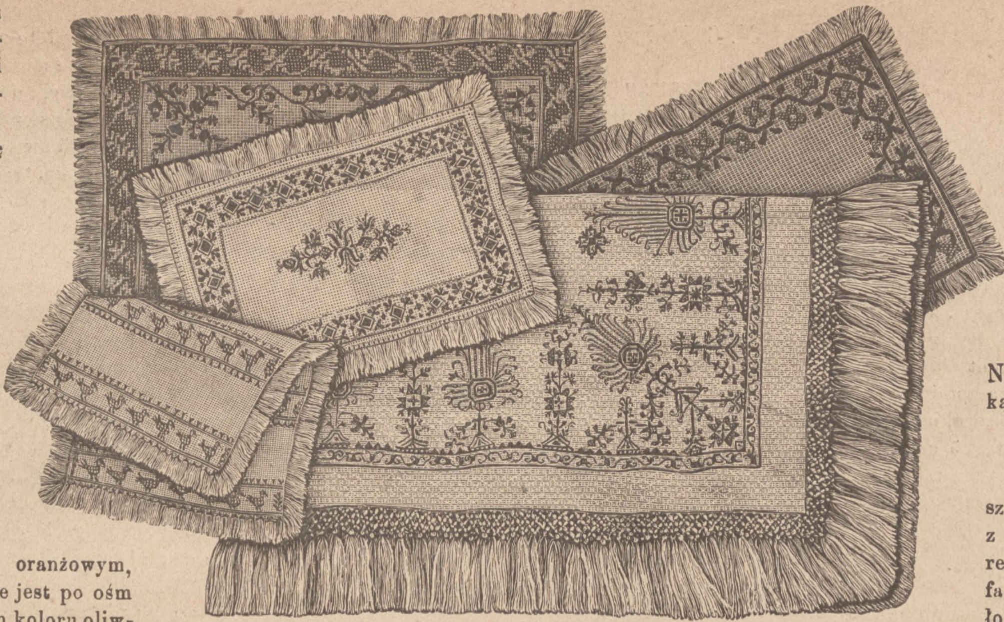
Na modelu zwierzchnie spiczaste zęby były z sukna niebieskiego, spodnie okrągłe z ponsowego. Do połączenia zębów jednych z drugiemi, służy nitka włóczki bronzowej przez wierzch przeszywana jedwabiem żółtym. Haft odrobiony niezbyt żywemi kolorami włóczki i filozeli w kolorach vert-anglais, mchowym, orzechowo-drzewnym i ponsowym do cieniu, z dodaniem trochę złota.

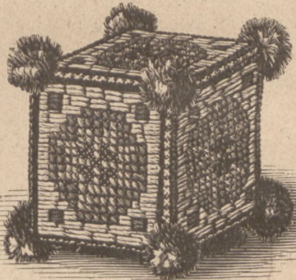
N. 23—26 i ryc. 11 w N. 5. Dwie krawatki i szpilki ozdobne.

Na ryc. 23 dajemy krawatkę ze wstążki morowej kremowego koloru, mającą 125 cent. długości a 10 szerokości, zakończoną kwadratami siatki gipiurowej, miary

siedmiu cent., robionemi z kordonku kremowego, u dołu gładko szytemi zębami z kremowej siatki i podłożonemi materyą kolorową. Część zębów w naturalnej wielkości damy na ryc. 11 w N. 5. Ryc. 24 przedstawia krawatkę 135 c. długą a 13 szeroką, ze wstążki mienionej pawiego koloru, przerabianą w drobne prążki karmazynowe. Brzegi zakończone szlakiem 15 c. szerokim oranżowym, w który wrobione jest po ośm kulek naprzemian koloru oliwkowego i bronzowego do cieniu. Ryc. 25 przedstawia szpilkę do głowy w kształcie motyla, naszytą na czarnym tiulu złotemi perełkami i szenelą. Na szpilce ryc. 26 mamy salamandrę ze złoconego bronzu mieniącego się w kolor zielony i ze szneli oliwkowej.


N. 3. Wachlarz z kokardą.


N. 7—11. Rozmaite serwety z wyszyciem. Patrz ryc. 12.


N. 5. Poduszeczka czworokątna.


N. 12. Szlaczek do serwet ryc. 7—11.


N. 6. Kepi jako poduszka do igieł.

N. 27. Kosz na papiery ozdobiony haftem i pomponami z włóczki.

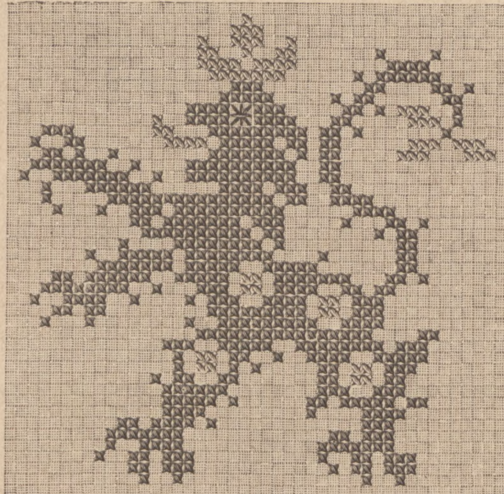
Blado-żółty 44 cent. wysoki kosz do papierów, ozdobiony jest na środku szlakiem haftu peruwiańskiego, do którego deseń dajemy na r. 37 w N. 2 Tygodnika Mód. W górze szlak przymocowany jest torsadką wełnianą 2 c. szeroką, ozdobioną pomponami z włóczki hamburskiej i filozeli, których próbkę i opis roboty damy w N. 5 przy ryc. 16—18. Dół szlaku zakończony frendzlą siepaną z kwastami włóczkowemi, a u dołu i u góry kosza naszyty na wązkiej torsadce, jeden przy drugim rząd pomponów, które zdobią także uszy kosza.

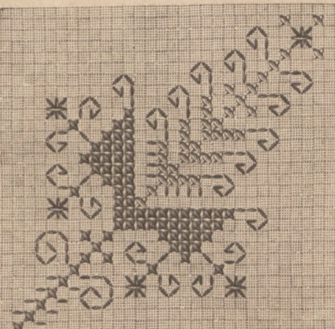

N. 18. Fartuszek włoski. Szlak patrz ryc. 19.

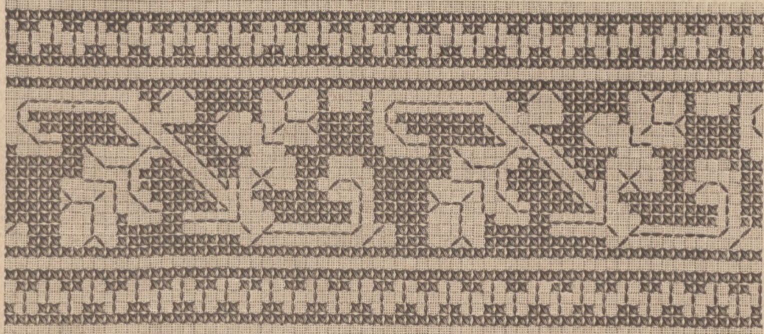

N. 13. Serweta z wyszyciem. Patrz ryc. 14—15.

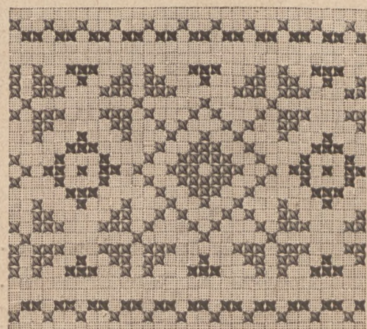
N. 28 i 29. Mankiety robione na drutach.

Damy w podeszłym wieku chętnie w zimę noszą ciepłe mankiety włóczkowe, jakich dwa modele podajemy. Ryc. 28 przedstawia mankiet z włóczki kolorowej angielskiej, zaczęty na oczek 56 lub 60 i obrobiony w koło 56 razy w paski z dwóch oczek gładkich i dwóch krętych, poczem następują 24 obrobienia gładkie. Brzegi pasa gładkiego wyszyte są jedwabiem kolorowym, ściegiem cierniowym; na środku wyhaftowany ściegiem płaskim, dwunitkową filozelą kolorową do cieniu, szlaczek podany na r. 3 w N. 1 Tygodnika Mód. Brzeg do ręki oszyty białą fałdowaną koronką, na którą zachodzi gładko naszyta koronka czarna wywodzona jedwabiem kolorowym. Mankiet r. 29 robiony jest cały gładko, w górze zakończony obrębem 2 cent. szerokim, a koło ręki oszyty 5 cent. szerokiem obłożeniem z czarnego aksamitu, ozdobionym kolorowym krzyżykowym haftem i ogarnirowany koronką.


N. 14. Smok wyszyty krzyżykami do ryc. 13.


N. 15. Rzucik do ryc. 13.


N. 19. Szlak wyszyty krzyżykami do ryc. 18.


N. 16. Szlak krzyżykowy do r. 7-11.

N. 30 i 31. Kapelusze dla małych dziewczynek.

N. 30. Kapotka z miękką okrągłą główką i rondkiem.

Z przodu 7, z tyłu 3 c. szerokiem, zrobiona była z atłasu bronzowego, któren na połowie główki był fałdowany, na drugiej połowie przemarszczany, a na rondku w środku dwa razy przemarszczony. Kokardy ze wstążki w atłasie 4 c. szerokiej.


N. 4. Wachlarz z łańcuszkiem.

N. 31. Kapelusz pluszowy.

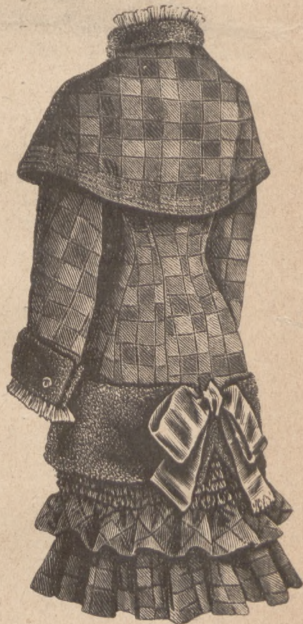
Orzechowo-bronzowego koloru, miał rondo z przodu na 2 cent. szeroko podszyte pluszem bordo, a z tyłu szeroko wywinięte i całe podszyte pluszem. Kokardy z atłasu bronzowego.

N. 32. Szlak do serwet, koszyków i t. p. Haft ściegiem plecionym i pojedyńczym.

Robiony na popielatej kanwie jawa włóczką crevel, w kolorach: ponsowym, ciemnoniebieskim, oliwkowym i zielonym.

N. 33 i 34. Szlaczki ściegiem krzyżowym i serbskim.

Na płótnie przetakowem, na trzech nitkach w kwadrat, jakie zajmuje także skośny ścieg gobelinowy po brzegach. Figury deseniu robione były naprzemian kolorem niebieskim i ponsowym, a obwodzone kolorem bronzowym. Na r. 34 środkowe figury były ponsowe ze środkami oliwkowemi, małe, po brzegach niebieskie prążki gobelinowe szafirowe i zielone, a górne gałązki niebieskie i ponsowe.


N. 17. Sukienka przybrana pluszem. Patrz r. 33 w N-rze 5.

N. 35—36. Kapturek włóczkowy dla dziecka. Robota szydełkowa i siatka. Krój na arkuszu z formami do N. 1 i 2 Tygodnika Mód, N. VII, fig. 22—23.

Materyał: włóczka angielska i pela biała. Główkę i karczek robi się oddzielnie ściegiem tunetańskim, którego próbkę naturalnej wielkości dajemy na ryc. 35. Nabierając oczy trzeba zawsze wpierw nitkę na szydełko zarzucić, a następnie przeciągnąć pentelkę przez oczko i zarzuconą nitkę poprzedzającego rzędu, jak to na próbce strzałka wskazuje. W rzędzie powrotnym przerabia się jednem oczkiem oczko i zarzuconą nitkę poprze-



N. 22. Lambrekina haftowana kolorowemi jedwabiami.

dzającego rzędu. Tak główkę jak karczek zaczyna się od dołu i gubi po brzegach podług formy; po wykończeniu fałduje się główkę i karczek i zeszywa od t do u ze spodu. Przód główki jest także w drobne równo rozdzielone fałdki zaszyty, do 32 cent. Garnirunek kapturka stanowi riusza suto ułożona z siatki, której pięć obrobień jest z włóczki a dwa z peli. Riuszę naszywa się raz w koło kapturka, a dwa razy nad czołem, oprócz tego naszywa ją się wachlarzowo w kształt dwóch pukli na główce. Kokardy, przewinięcie i szarfy ze wstążki białej w atłasie 2 cent. szerokiej.

N. 20. Krawatka tiulowa z wywodzeniem.



N. 23—26. Krawatki i szpilki.

N. 37. Kapotka dziecinna.

Kapotka z pluszu jedwabnego z długim włosem, ubrana wstążką w atłasie 4 cent. szeroką.

N. 41. Pudełko na rękawiczki ozdobione malowaniem.

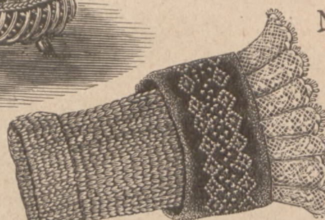
Pudełko pokryte czerwonawo-bronzowym pluszem, ze złoconem lub stalowem okuciem i antabami, ozdobione jest z wierzchu w jednym rogu trójkątem ze skóry jasno-popielatej, na której gwaszowemi farbami wymalowany bukiecik kwiatów.



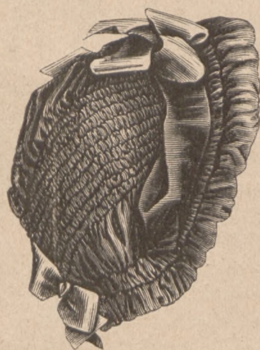
N. 27. Kosz do papierów.



N. 28. Rękawek robotą drutową ozdobiony haftem.



N. 29. Rękawek robotą drutową zdobny wykładem wyszywanym.



N. 30. Kapotka atłasowa dla dziewczynki.

N. 42—43. Ubranie salonowe strojne, ozdobione klamrami.

Spódnica z białej lub kremowej moiré antique jest gładka, tylko u dołu oszyta plisowaniem 7 cent. szerokiem, koronką 15 c. i riuszą układaną à la vieille, ze skosu 14 cent. szerokiego. Stanik i krótka draperya szalowa z jednego boku klamrą w górę podpięta, u dołu koronką garnirowana, zrobione są z toile de Virginie kremowego koloru. Do przybrania draperyi z tyłu, rękawów i na dolne plisowanie, służył plusz jasno-pawiego koloru. Fałdowaną baskinę stanika zdobi szeroka kokarda i koniec z podwójnie złożonej mory, w miejsce węzła kilka razy przemarszczona. Na ryc. 42 rękawy mają szew wewnętrzny nie zeszyty, tylko złączony 8 cent. szeroką riuszą koronkową. Zręczna koronkowa chusteczka przypięta z przodu klamrą. Kreza z pluszu i koronki.



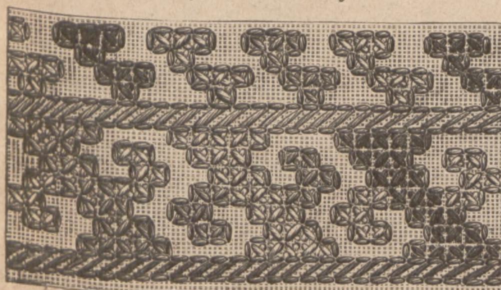
N. 21. Krawatka jedwabna przerabiana w deseń.

N. 44. Suknia z potrójną tuniką okładaną pluszem.

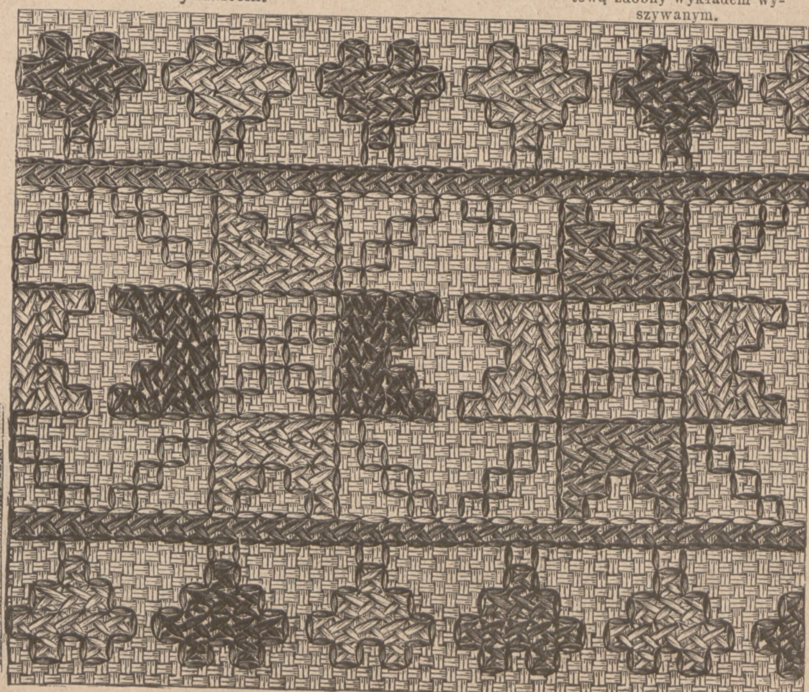
Spódnica sukni była z materyi mienionej zielonej z bordo, stanik i tunika z sukna cienkiego ciemno-zielonego. Spódnica oszyta 12 cent. szerokiem plisowaniem z atłasu ciemno-zielonego, nad którem dane równo szerokie obłożenie z sukna. Przody tuniki są z trzech jedna na drugą zachodzących części, w górze w płaskie fałdy założonych, oszytych w ten sposób plisą z pluszą, iż imitują potrójną tunikę, z przodu otwartą i kokardami związaną. Stanik z przodu przedłu-



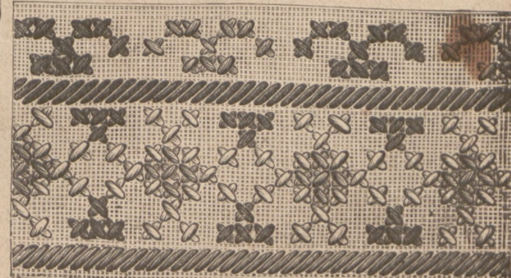
N. 31. Kapelusz pluszowy dla dziewczynki.



N. 33. Szlaczek wąski serbski.



N. 32. Szlak. Ścieg pleciony i pojedyńczy



N. 34. Szlaczek serbski.



N. 35. Ścieg tunetański do ryc. 36.

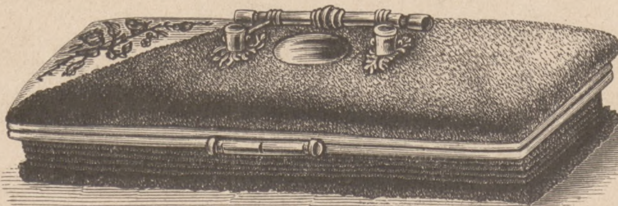
żony, z boków kolisto podcięty, ma przy pleckach wązkie końce pluszem podszyte, w górę aż do wcięcia w stanie odwinięte i kokardą złączone. Kołnierz wykładany pluszowy z przodu skośnie ścięty, wszyty jest w pasek 3 cent. szoroki i związany wstążką w atłasie z długo spuszczonemi końcami. Wązkie rękawy zdobi mankiet pluszywy z węzłem ze wstążki. Guziki z konchy perłowej.

N. 45—46. Dwa szlaczki do koszyczków, serwet, fartuszków lub t. p. Ścieg płaski i supełkowy jedwabiem kordonkowym na taśmie lub płótnie kanwowem.

Szlaczki mogą być robione jedwabiem do cieniu lub w odmiennych stosownie dobranych kolorach. Na modelu szlaczek ryc. 45 robiony był jedwabiem niebieskim do cieniu, a ryc. 46 ponsowym z supełkami i brzeżnemi prążkami odmiennego koloru.



N. 39—40. Niedźwiedź z bronzowego pluszu i jego przewodnik.



N. 41. Kasetka na rękawiczki.



N. 36. Kapotka robotą szydełkową i siatkową. Patrz ryc. 35. Krój na arkuszu do N. 1 i 2, fig. 22—23.

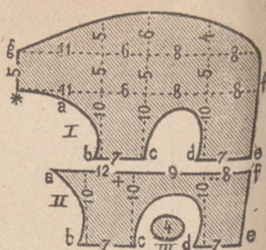


N. 37. Kapotka zdobna kokardami.

Opis do N-ru 5.

N. 1—2 i 35. Teka na chusteczki batystowe.

Składa się z dwóch kawałków tektury, po 20 cent. w kwadrat, oklejonych szarem płótnem i pokrytych z wierzchu niebieskim pluszem; od środka podszyte są oliwkową materyą poddaną pachnącą watą i przepikowaną. Z każdego boku dane końce z atłasowej wstążki, do związywania na kokardy. Przyozdobienie zwierzchnie stanowi kwadrat siatkowy 12 cent. długi, odrobiony z kordonku oliwkowego, wyszyty i haftowany podług ryc. 2, przedstawiającej czwartą część w naturalnej wielkości. Najpierw wyszywa się na tle siatki dwa rzędy skośne tworzące jaśniejsze krzyżyki, a potem dodaje w drugą stronę krzyżujące się ciemniejsze ściegi, jak to objaśnia ryc. 35. Na tak przygotowanem tle odrabia się haft płaski filozelą, podłożywszy od spodu szyrtyng, który po skończeniu haftu wycina się starannie. Kontury obwiedzione są podwójną nitką złotą.



N. 38. Wskazanie kroju niedźwiedzia ryc. 39.

N. 3—4. Kapelusze zimowe.

N. 3. Kapotka zdobna piórami i koronką.

Fasonik z główką wązką 10 cent. wysoką i z rondkiem 10 cent. szerokiem z przodu, pokryty jest z wierzchu czarnym aksamitem, a od spodu podszyty pluszem ponsowym. Przybranie stanowi z jednego boku riusza z koronki przypięta dżetowemi agrafkami, a z drugiej strony kilka krótkich strusich piórek. Końce morowe 10 cent. szerokie.

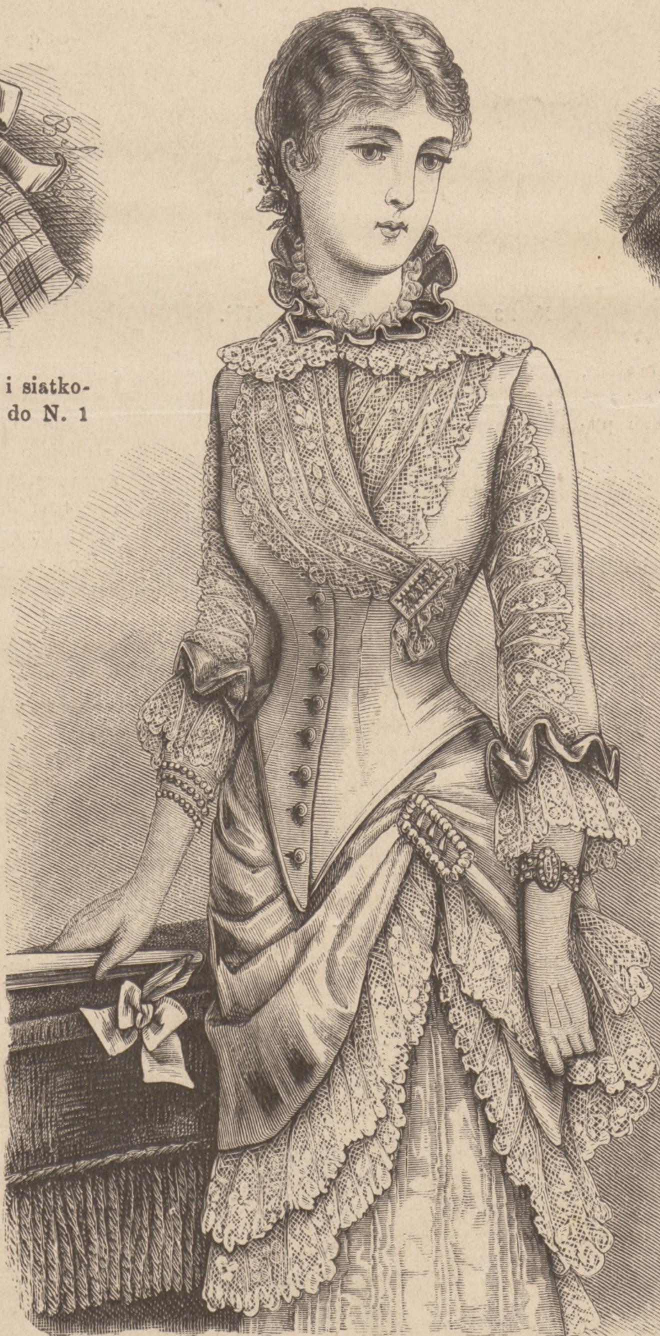
N. 4. Kapotka aksamitna z piórami.

Pokrycie dane z aksamitu oliwkowego, mieniącego się złotawo; główkę otacza fałdowany skos, 14 cent. szeroki, przepięty stalowemi klamrami, z wierzchu ku twarzy przypięte krótkie strusie piórka i rozeta z piór. Końce atłasowe 10 cent. szerokie; rondko podszyte atłasem mienionym.

N. 5. Chusteczka z przemarszczeniem i kokardami.

Skos jedwabnej żółtawej gazy, 18 cent. szeroki, 1 metr 50 c. długi, przemarszczony jest kilkanaście razy w ten sposób, iż tworzy rodzaj okrągłego kołnierza oszytego koronką 10 cent. szeroką.

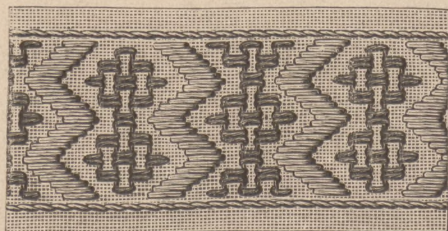
(D. c. n.)

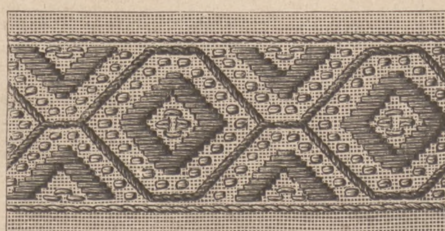


N. 42. Suknia wizytowa zdobna klamrami. Patrz ryc. 43.



N. 44. Suknia z potrójną tuniką, zdobna pluszem.





N. 45—46. Szlaczki ściegiem płaskim.



N. 43. Suknia wizytowa zdobna klamrami. Patrz r. 42.



Pl. 488.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.